

odgłosy



23 (707)
6. VI. 1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. W. Parys

O POTRZEBACH DZIELNIC — MÓWIĄ:

INŻ. EDWARD KOTECKI
PRZEWODNICZĄCY PREZYDIUM
DRN-SRÓDMIEŚCIE

— Pod kątem potrzeb. Ba! Mamy ich mnóstwo. Z jednej wynika inna, a z tej — znów jeszcze inna, pochodna. Cały splot. Budowa centrum, zabudowa śródmieścia, stare domy zagrożone awarią, rozbioraki, remonty kapitalne, elewacje, zabezpieczenie starej substancji mieszkaniowej, komunikacja... Co by pan wybrał?

— Problem generalny: budowa centrum.

— To zabrzmiało dumnie. Niestety, budowa centrum opóźnia się — kółka tego mechanizmu obracają się nazbyt wolno. Dotąd panował tu chaos. Trwają przetargi z resortami. Dobrze znamy potrzeby naszej dzielnicy i chcielibyśmy sami, w pracowni urbanistycznej DRN, opracować własne koncepcje zabudowy centrum i śródmieścia, które by odpowiadały specyfice naszego terenu. Oczywiście w ogólnych ramach planu rozwoju przestrzennego Łodzi. Tylko, że nie możemy tego zrobić, ponieważ nie ma jeszcze dokładnej koncepcji centrum i nie zatwierdzono dotąd generalnych kierunków rozwoju miasta. To naturalnie wiąże nam ręce. I niepokoi, bo czas leci. Tym więcej, iż plany budowy centrum i sensownej zabudowy śródmieścia są integralnie związane, pomijając inne względy, z niebagatelną kwestią utrzymania w stanie używalności wykruszających się zasobów mieszkaniowych starego budownictwa. Wiele budynków umiera śmiercią techniczną i nie czekając na urzędowe zatwierdzenie planów, po prostu grozi ruiną. Ekshumacja nie tu nie pomoże, trzeba je rozbierać i to nierzadko szybko. W ubiegłym roku mieliśmy sześć awarii starych domów mieszkalnych. W bieżącym — dotąd, już trzy. Co na ich miejsce budować? I czy w ogóle budować? A planów wciąż brak. Ale nie tylko to, bo przecież ludziom z wyburzonych domów trzeba dać mieszkania. Tu z kolei stajemy w obliczu faktu, który niepokoi nas nie mniej, niż wiele niewiadomych w sferze przestrzennego zagospodarowania śródmieścia, a mianowicie wobec postępującego paraliżu Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, która — dodajmy — jest budowniczym Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. LSM plany ma piękne — 250 mieszkań rocznie. Nawiasem mówiąc, na terenie naszej DRN burzymy rocznie co najmniej dwa razy tyle. W ubiegłym roku LSM oddała nam do użytku niewiele izb. W sumie mieszkań nam nie przybywa. Część lokatorów z domów zagrożonych, lub przeznaczonych do wyburzenia, otrzymuje mieszkania spółdzielcze, ale większości

Dalszy ciąg na str. 4

KAROL BADZIAK

„ARTYSTA”

WŚRÓD ARTYSTÓW

Do redakcji nadszedł list z kawiarni „Turecka” na nazwisko — Marek Zommer. Taki u nas nie pracuje. List zawierał odpowiedź na wpis do książki życzeń i zażaleń. Sprawdziłszy, rzeczywiście przychodził do tej kawiarni młodzieniec ołbrzymi jak Gargantua, włochaty, brodaty i kudłaty jak Manson jeszcze przed wizytą u więziennego golfbrody. Miłe panie kelnerki brały go za hippiesa, jemu z kolei się wydawało, że jest dziennikarzem i stąd konflikty, wskutek których personel kawiarni stracił kwartalną premię, a redakcja nasza zyskała w kołach zbliżonych do LZG reputację pisma o dość wątpliwej polityce kadrowej.

Jako że w ostatnim okresie sława rzekomego Marka Zommera w środowiskach artystycznych

Łodzi, Wrocławia i Warszawy zaczęła wzrastać wprost proporcjonalnie do jego aktywności, postanowiliśmy przeprowadzić z nim maleńki interview. Wydało nam się bowiem, że dopóki on wie więcej o ludziach, niż ludzie o nim, dopóty ma nad nimi przewagę. Do tej pory on znał właściwie wszystkich, jego nie znał prawie nikt. Wątpię oczywiście, czy jednym wywiadem w prasie i paroma wywiadami milicyjnymi uda nam się uzyskać równowagę między jego wiedzą o nas, a naszą wiedzą o nim, niemniej próbować trzeba.

Marek Zommer jakby coś wyczuwał, gdyż bez większego entuzjazmu odniósł się do propozycji spotkania ze mną, a przecież skądinąd wiem, że jest on człowiekiem wyjątkowo towarzyskim

i zawsze dążył do zaprzyjaźnienia się z całym światem, przynajmniej artystycznym, co — przyznajmy uczciwie — nie przychodziło mu z wielką trudnością. Zresztą skłonność świata przestępczego do świata artystycznego jest stara jak świat. Faktem jest, że nie miał on ostatnio, co prawda, dobrej prasy i passy i dlatego te obiekcje. „Głos Robotniczy” pisał nawet o nim niedawno, że jest oszustem, fałszywym reżyserem, fałszywym lekarzem, scenografem et caetera.

Dzięki uprzejmej pomocy milicji i moralnemu poparciu prokuratury udało mi się jednakże nawiązać przyjacielski dialog z Markiem Zommerem. Po załatwieniu zwykłych czynności w KD

Dalszy ciąg na str. 4



Wizyta przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR — N. Podgornego w Kairze, którą komentatorzy śledzili niezmierznie uważnie, zakończyła się PODPISANIEM UKŁADU O PRZYJAZNI I WSPÓŁPRACY między oboma krajami. Układ, zawarty został na 15 lat. Składa się on z 12 artykułów. W preambule podkreśla się cztery zasady, jakie umawiające się strony przyjmują w układzie za nadrzędne:

- walka z imperializmem i kolonializmem o wolność, niezawisłość i postęp społeczny,
- gotowość utrwalenia międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa,
- wierność celom i zasadom Karty Narodów Zjednoczonych,
- dążenie do umocnienia i utrwalenia tradycyjnych więzów przyjaźni.

Nie ulega wątpliwości, iż zawarcie układu jest doniosłym aktem zbliżenia radziecko-arabskiego i rozszerza dotychczasową współpracę. Celem zaś tej jest „zapewnienie warunków, jakich wymaga zachowanie i dalszy rozwój zdobytych społeczno-gospodarczych”. W dziedzinie politycznej układ przewiduje regularne konsultacje, w gospodarce — rozszerzenie wymiany towarowej i żegluga oraz wymianę poglądów na problemy przemysłowe, rolne, eksploatacji zasobów naturalnych, w dziedzinie wojskowej — „współdziałanie w przeszkalanii personelu wojskowego ZRA w opanowywaniu umiejętności posługiwania się uzbrojeniem i ekwipunkiem, dostarczonym ZRA w celu zwiększenia jej zdolności do likwidowania następstw agresji...”.

Ważną wymowę polityczną ma również ten artykuł układu, który zawiera zobowiązanie obu stron, iż nie będą brały udziału w żadnym ugrupowaniu, czy też działaniu, wymierzonym przeciwko sygnatariuszowi układu.

Wartość radziecko-egipskiego porozumienia mierzyć jednak trzeba nie tylko treścią, ale także czasem, w jakim zostało zawarte. Wewnętrzne wydarzenia w Egipcie, o których szczegółowo pisaliśmy na tym miejscu, stały się na Zachodzie powodem wielu spekulacji. Mówiono o zbliżeniu tego kraju z naserowskiej drogi, oczekiwano rozluźnienia współpracy egipsko-radzieckiej. Taki bieg wydarzeń odpowiadałby oczywiście życzeniom Izraela. W okresie nie- wiatle dłuższym niż sześciomiesięczny — przynajmniej komentatorzy zachodni — Związek Radziecki po raz drugi obrócił sytuację na swoją korzyść. Pierwszy raz po śmierci Nasera, drugi właśnie teraz, kiedy umocniła się pozycja prezydenta Sadata.

„Imperialiści i ich wasale — mówili do radzieckiego gościa prez. Sadat — którzy uważnie obserwują wizytę pana u nas, przekonali się, że nie są w stanie zrozumieć istoty stosunków radziecko-arabskich i ich szlachetnych celów.

„wszystkie próby podejmowane przez imperializm i reakcję, a zmierzające do oskalowania tej przyjaźni, rozbiły się o skalę niezłomnej świadomości mas naszego narodu arabskiego, który jest w stanie odróżnić wroga od przyjaciela, który walczy z wrogami, a utrzymuje przyjaźń z przyjaciółmi”.

Przed 15 laty, po obaleniu monarchii egipskiej przez rewolucję naserowską, kiedy to imperialistyczne kółła W. Brytanii, Francji i Izraela do spółki zorganizowały napad na Egipt — pomoc radziecka pozwoliła państwu nad Nilem przeciwstawić się agresorom. Od tej chwili datuje się radziecko-egipska współpraca, wystawiona na wielką próbę w 1967 roku. Dziś wzajemne stosunki reguluje uroczysty akt prawny, jakim jest nowy układ. Przybliży on ZRA do państwa obozu socjalistycznego.

★

W Helsinkach zakończyła się KONFERENCJA RADY MIĘDZYNARODOWKI SOCJALISTYCZNEJ. Wywolała ona szerokie zainteresowanie prasy, o czym świadczyć może wyższa liczba dziennikarzy niż delegatów uczestniczących w obradach. Przyczyną tak ważnego śledzenia obrad był ich temat: bezpieczeństwo europejskie i aktualne problemy światowe. Delegaci wypowiedzieli się w jednomyślnie przyjętej rezolucji za zwołaniem ogólnoeuropejskiej konferencji, w jak najkrótszym czasie. Zażądali także zakończenia działań wojennych na Półwyspie Indochińskim. W tych dwóch punktach — w stosunku do stanowiska zajętego przed dwoma laty — zaobserwować można wyraźną pozytywną ewolucję poglądów. Niestety, w innej doniosłej międzynarodowej kwestii rozwiązania kryzysu bliskowschodniego międzynarodówka zajęła większością głosów stanowisko, wyrażone w projekcie rezolucji, zgłoszonej przez delegację izraelską. Ten ostatni fakt uniemożliwia jednoznaczna ocenę konferencji, chociaż z pewnością można zauważyć wzrost tendencji do rozstrzygnięcia międzynarodowych problemów drogą porozumienia, wynikających ze światowych realiów.

Zważywszy, że wśród delegatów byli przedstawiciele 13 partii, które bąd sprawują władzę w swoich krajach, bądź wchodziły w skład koalicji rządowych — może to upoważniać do optymizmu.

Przypomnijmy, że niedawno przywódcy radzieccy wysunęli propozycje współpracy komunistów i socjalistów w walce o umocnienie pokoju, przeciwko imperializmowi.

W. ŚLAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ●

Nafta zmieszana z krwią

„NATION” — WASZYNGTON

Pół roku temu reżim sajsjonki: Thieu-Ky wydał ustawę nr 011/70 w sprawie „Badań i eksploatacji złóż ropy naftowej”. Ustawa oficjalnie udziela błogosławieństwa rozmowom, prowadzonym między rządem południowowietnamskim i dziesiątkami kompanii naftowych, głównie amerykańskich, a dotyczącym wydzierżawienia podmorskich złóż naftowych w Południowym Wietnamie.

Osiemnaście koncesyjnych terenów naftowych Pld. Wietnamu znajduje się w Zatoce Syjamskiej i południowo-wschodnim rejonie przybrzeżnym. Sajgon gotów jest oddać te koncesje „na najbardziej korzystnych warunkach” i pozostawić w tym zakresie pełną swobodę działania konkurującym ze sobą kompaniom naftowym.

Intensywne poszukiwania ropy naftowej prowadzone nie tylko na morzu, lecz również na terenach urodzajnej delty rzeki Mekong oraz na namulonych równinach Syjamu. Stwierdzono istnienie potencjalnych złóż ropy naftowej na największym w świecie szelfie kontynentalnym, który łączy Japonię, Indochiny, Indonezję i Australię. Przypuszcza się, iż złoża te są bardzo bogate. Dziennik „World Oil” informował 15 sierpnia ub. roku, że „do 1975 roku wydobyte ropy naftowej w tym rejonie osiągnie 400 milionów barellów dziennie”. (1 barell równa się 159 litrów). Wyniosłoby to około 146 miliardów barellów rocznie, czyli blisko trzy czwarte obecnego światowego wydobycia ropy naftowej.

USA już od dawna przejawiają zainteresowanie naturalnymi bogactwami południowo-wschodniej Azji. H. Cabot-Lodge, były ambasador USA w Pld. Wietnamie, powiedział w roku 1965: „Kto rządzi Wietnamem, albo ma tam wpływ, ten może decydować o przyszłości Filipin i Tajwanu na wschodzie, Syjamu i Birmy z ich gigantycznymi możliwościami produkcji ryżu — na zachodzie, oraz Malajzji i Indonezji z ich zasobami kauczuku, ropy naftowej i ołowiu — na południu”.

Przeniesienie działań wojennych do Kambodży i Laosu najwiedźniej zbliżyło się w czasie z odkryciem licznych złóż ropy naftowej w Indochinach. W informacji agencji „France Presse” z dnia 7 lutego 1971 roku mówi się: „Niedawne odkrycie bogatych złóż ropy naftowej w Syjamie i Południowym Wietnamie wyjaśnia w znacznym stopniu aktywizację działań wojennych w Indochinach, a w

szczególności ostatnie wydarzenia w Laosie... Nikt nie może powiedzieć dokładnie, kiedy dowiedzieli się Amerykanie o istnieniu tych złóż. Jest całkiem prawdopodobne, iż potwierdzona informacja na ten temat otrzymali na początku przewrotu w Kambodży, wiosną ubiegłego roku...”

Amerykańskie kompanie naftowe już obecnie zainwestowały ogromne kapitały w południowo-wschodniej Azji. Kompania „Standard Oil” i „Shell Oil” przeniknęły do tych rejonów świata z górą pięćdziesiąt lat temu. Obecnie mapa południowo-wschodniej Azji jest upstrzona oznaczeniami morskich koncesji naftowych. Jak obliczają eksperci, w końcu 1971 roku wydobyte ropy naftowej w Indonezji, które w 80 procentach kontrolują firmy amerykańskie, osiągnie milion barellów dziennie. Inwestycje kompanii naftowych USA w Indonezji zwiększyły się z 100 milionów dolarów w 1969 roku do 130 milionów dolarów w 1970 roku — jak się przewiduje — wzrosną do 160 milionów dolarów w 1971 roku.

Do dzisiejszego dnia, na wspomnianym już szelfie kontynentalnym wykryto pięć wielkich złóż naftowych. Jedno z nich odkryła brytyjska „Royal Dutch Shell” zaś cztery pozostałe — amerykańskie kompanie naftowe. Pogoń za koncesjami naftowymi trwa nie tylko na wodach indonezyjskich, lecz także w Zatoce Syjamskiej i w Malajzji. Obok tego w centrum uwagi pozostają niezmienne przybrzeżne obszary morskie Południowego Wietnamu.

Fachowcy przewidują, iż w nadchodzącym dziesięcioleciu uprzemysłowane kraje świata będą potrzebowały tyle nafty, ile wydobyto jej na przestrzeni całej historii przemysłu naftowego. W minionym dziesięcioleciu zapotrzebowanie na naftę w Europie zachodniej wzrosło trzykrotnie. We Francji rośnie ono każdego roku o 17 procent, w Japonii — o 13 procent i w USA o 6 procent.

Amerykańska senacka komisja spraw zagranicznych otrzymuje codziennie setki listów od obywateli, którzy żądają zbadania sprawy wzajemnych powiązań między ropą naftową i przedłużającą się obecnością Amerykanów w Indochinach. Ta współzależność jest oczywista i nasuwa się pytanie: czy nafta nie jest przypadkiem tym „ogonem”, który kręci „psiem”, to jest — czy to przypadkiem nie nafta kieruje działaniami wojennymi USA w Indochinach?...

Kłopotliwa pamiątka

„SPIEGEL” — HAMBURG

Już od kilku miesięcy francuska firma budowlana próbuje zburzyć na ulicy Perouse w Paryżu ogromny betonowy bunkier, wybudowany przez hitlerowców i służący za schron dla oficerów b. niemieckiej komendatury Paryża.

Do roku 1965 sprawy usunięcia tej „pamiątki” z czasów okupacji hitlerowskiej w ogóle nie podnoszono. Byłoby to bezcelowe: zaraz po wojnie bunkier przejął w swe ręce Amerykanie, lokując w nim jedną ze

stacji radiowych NATO. Po zaostrożeniu się stosunków pomiędzy Francją a NATO, Amerykanie, nolens volens, musieli opuścić „blochaus”, zaś władze francuskie wystawiły na sprzedaż plac wraz ze stojącym na nim bunkrem. Kupił go, po niewysokiej cenie, pewna francuska kompania z zamiarem wzniesienia na miejscu bunkra gmachu biurowego. Podjęła się tego zadania duża paryska firma budowlana. I tak oto któregoś ranka zahuczały pneumatyczne

świdry i ogromne młoty elektryczne. Ale teraz dopiero zaczęły się kłopoty: w sąsiednich domach zarysowały się sufity, a szyby sypały się jak grad. Roboty wstrzymano. Obecnie opira-

kuje się nowy projekt punktu widzenia współczesnej techniki budowlanej — opuszczenie bunkra w głąb ziemi i użycie go jako fundamentu pod nowy gmach.

„Chcą skończyć z wojną teraz”

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” — PARYŻ

Potężne demonstracje antywojenne w Waszyngtonie, jak również mające się odbyć dalsze wystąpienia, wskazują dobitnie na ogromną opozycję przeciwko wojnie w Wietnamie.

„Gołębie” — ci, którzy uważają amerykańską politykę nie tylko za błędną, lecz również za amoralną, ci spośród „jastrzębi”, którzy utrzymują, że jeśli wojny nie można „wygrać”, to należy przestać wojować, a nawet niektórzy wojskowi, przekonani, iż armia ulega rozkładowi — wszyscy ci, oraz olbrzymia liczba innych Amerykanów, tworzą dziś prawdziwy „front narodowy”, który ukształtowała opozycja przeciwko wojnie.

Polityka Nixona nie ulega zmianie. Nie podał on dokładnej daty całkowitego wycofania wojsk amerykańskich, zachowując w ten sposób swobodę działania i możliwość podjęcia decyzji, flu żołnierzy USA i jak długo pozostanie w Południowym Wietnamie. Nigdy nie uczyni on kroku, który by zagroził przewrotom militarystycznym reżimowi Thieu lub osłabieniem jego pozycji w zbliżających się wyborach. Nixona zmierza do utrzymania Wietnamu Południowego jako państwa

z reżimem totalitarnym, wspieranego silną wojskową pomocą Stanów Zjednoczonych i obecnością wojsk amerykańskich.

W tej sytuacji polityka prezydenta, nawet w najmniejszym stopniu nie odpowiada ani żądaniom demonstrantów w USA, ani nadziejom wciąż rosnącej liczby Amerykanów, którzy „chcą skończyć z wojną teraz”, lub w końcu 1971 roku, względnie w połowie 1972 roku. Powstaje dziwaczne położenie: ogólna sytuacja w kraju zmieniła się już na tyle, iż — niemal z pewnością — można nazwać samego Nixona jako „inaczej myślącego”, niż wymaga tego interes całego narodu.

Czy w ogóle istnieją jakiegokolwiek cele polityki USA, w imię których można by usprawiedliwić ignorowanie opinii ogromnej części narodu?

Koniec końców, na jakimś tam etapie zgodność stanowiska narodu waży więcej, niż jakiegokolwiek cel. Nixona powinien się głębiej zastanowić, czy wystąpienia setek tysięcy demonstrantów na Pensylwania-Avenue nie są dowodem, że ów krytyczny etap już nastąpił.

Krzewy... na łańcuchu

„CHICAGO SUN-TIMES” — CHICAGO

Nowojorskiemu zarządowi parków wielu stracił przysparzają złośliwe, którzy wykopują i kradną dopiero co zasadzone drzewa i krzewy. Obecnie nowe sadzonki przytwardza się do ziemi... łańcuchami i spina przy pomocy specjalnych klamer.

Kierowcy taksówek, przerażeni licznymi napadami i niesłychaną ilością zabójstw, nie wyjeżdżają na ulice między północą a szóstą rano, kiedy to w mieście hula świat przestępczy.

W Chicago dyrekcję pięciu prywatnych linii kolejowych pragnąc zahamować falę włamań do wagonów towarowych, zażądały stałego patrolowania pociągów przez policyjne śmigłowce.

Takie są fakty. Liczba przestępstw w USA zwiększa się o ponad 10 procent rocznie. Jeśli wziąć przy tym pod uwagę gwałtowny wzrost schorzeń psychicznych, powodowanych nieustanną groźbą gwałtów, to staje się zrozumiałe, iż dążenie do ochrony życia i mienia przekształca się w Ameryce w swego rodzaju manię narodową.

W związku z tą ponurą rzeczywistością najbardziej dochodowy staje się dziś biznes, żerujący na „zabezpieczeniu bezpieczeństwa” czy to przy pomocy psów, względnie specjalnych urządzeń, sygnalizujących włamanie, czy to przy pomocy uzbrojonych strażników, czy wreszcie kieszonekowych roz-

pylaczy gazu. Firma „International Detective Agency” Williama J. Barnes, ciesząca się w tej branży „niezawodną reputacją”, aż czterokrotnie powiększyła swe dochody na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat.

Amerykańskie korporacje oraz osoby prywatne wydają minimum dwa miliardy dolarów rocznie na bezpieczeństwo osobiste i ochronę mienia. Wydatki te rosną systematycznie o 10—15 procent każdego roku. Duża ich część idzie na „stary i wypróbowany sposób” — na klasyczną ochronę osobistą (dziś z jednego policjanta przypada półtora prywatnego detektywa). Ostatnio pojawiają się na rynku dziesiątki najprzeróżniejszych urządzeń „zabezpieczających”, głównie elektronicznych.

W Houston pewna kompania produkuje dźwiękowy system „Multra”, który nadaje sygnały ostrzegające, jak tylko złodziej zaczyna się dobierać do zamków w magazynie, odległym nawet o 30 mil. Mieszkańcy Nowego Jorku, a szczególnie samotne kobiety, zapoatrują się w urządzenia sygnalizujące „Fri-Teach Marketing and Development”. Wydają one ostry sygnał przy próbie otworzenia drzwi ślana. Natomiast duża firma w Chicago preferuje baloniki z gazem łzawiącym...

● Zewsząd o wszystkim ●

JAK CO ROKU ZACZYNAJĄ SIĘ POJAWIAĆ NA ULICACH WIELU MIAST POLSKI AUTOKARY PEŁNE TURYSTÓW ZAGRANICZNYCH. WŚRÓD NICH JEDNA KATEGORIA ZAWSZE BUDZI SPECJALNE ZAINTERESOWANIE — TO CI, KTÓRZY MÓWIĄ PO POLSKU Z OBCYM AKCENTEM, ALBO ZGOLA POSŁUGUJĄ SIĘ TYLKO ANGIELSKIM, ALE PATRZĄ NA NASZ KRAJ ZE SPECJALNYM ODCIENIEM ZACHŁANNEJ CIEKAWOŚCI I WZRUSZENIA: WYCIECZKI POLONII AMERYKAŃSKIEJ. KIM SĄ CI, KTÓRYCH OJCOWIE WYJECHALI ONGIŚ Z NASZEJ ZIEMI ZA OCEAN W POSZUKIWANIU PRACY I CHŁEBA?

BOGDAN GRZEŁOŃSKI

Polscy Jankesi

GDY CHICAGO BYŁO POLSKIE

Pierwsi emigranci „za chlebem”, a ściślej „za ziemią”, to grupa Ślązaków, która w 1854 roku dotarła do Teksasu, zakładając osadę o pięknej nazwie „Panna Maria”. Wybuch wojny domowej ujawnił już 816 polskich osad. Ale zwycięstwo Północy to błogosławieństwo dla żarłocznego przemysłu, pragnącego tylko silnych, zdrowych i tanich rąk do kopalń, hut i fabryk. Wchłaniał więc przemysł zaczynającą wylewać się z ziem polskich masę chłopską. Najpierw z Poznańskiego i Pomorza, nekana germanizacyjną polityką, a po roku 1880 z przeludnionej Galicji i Królestwa. Ale wtedy ci prości, na niskim poziomie intelektualnym i kulturalnym — wychodźcy nie mogli już zakładać osad o pięknych, polskich nazwach. W Chicago, Detroit, Buffalo, Milwaukee, Pittsburghu i innych ośrodkach przemysłowych, mogli z najniższych płac robotniczych, żyjąc niezwykle prymitywnie, oszczędzać dolara za dolarem, by posłać go do domu lub odkładać na powrót, gdy będzie się miało na zakup lub powiększenie gospodarstwa. Dlatego w tym wspólnym losie, wyobcowaniu, ciągnął swój do swego, tworząc polskie „getta”, którym ramy organizacyjne nadawała parafia. W niej mogli w swojej mowie modlić się, przeżywać swoje troski i wspominać opuszczone wsie. Własnie tam, w jedności losów rodziła się idea braterskiej pomocy. Powstały — Zjednoczenie Polskie, Rzymsko-Katolickie (1873), a potem Związek Narodowy Polski (1880), Związek Polek w Ameryce (1898) i inne. Jednakże ciężka walka o chleb włączyła ich również w nurt walki amerykańskiej klasy robotniczej o lepsze warunki pracy, o większy zarobek. Dlatego wkład ich do tej walki w Stanach jest niemały. Bo właśnie polscy górnicy byli w szeregach tworzącego się Związku Górników Amerykań-

skich (1898). To ich wnuk — Józef Jabłoński, trzecie pokolenie, dla tej samej sprawy oddał życie. Niemalże było polskich imigrantów w ruchu socjalistycznym, którego najwyższy rozwój przypadł na pierwsze dwudziestolecie XX wieku.

Jednak strumień wychodźstwa przecięty został przez wybuch I wojny światowej. Narosła warstwa przekroczyła dwa miliony imigrantów.

Po wojnie, wskutek polityki rządu USA, a w pewnym stopniu dzięki odrodzeniu się państwa polskiego, stan ten został usankcjonowany. Ale jaka była struktura tego wychodźstwa? Odpowiedź: trudna. Wystarczy przypomnieć 24 tysiące żołnierzy wysłanych do Francji, którzy walcząc o tę, „co nie zginęła” w ich prostych, chłopskich sercach, miliony wysłanych dolarów na pomoc, wzniesione kościoły na purytańskiej ziemi, rozwinięte cząstki emigracji i wzrost organizacji bratniej pomocy. A nie bez znaczenia był również fakt, że w 1920 roku tylko około 30 proc. przybyszów z Polski, według statystyki USA, miało obywatelstwo amerykańskie. Dziś z tych, co dla nich „Czykagowo” było „Nowym Światem” niewiele pozostało. Nawet w ogólnej liczbie wszystkich członków organizacji polonijnych duża część z 800 tysięcy urodziła się na ziemi amerykańskiej. Niemniej to oni obnoszą się z Pułaskim i Kościuszką, blokując raz na rok w pochodzie ku pamięci twórcy kawalerii amerykańskiej — Pułaskiego, ulice Nowego Jorku.

To są ostatnie lekcje pokryte amerykańszczyzną, wysepki gorących serc polskich.

NAZYWA SIĘ FRANK GRIBS

Spędziłem z nim cały dzień, kiedy w przelocie z Kalifornii do Moskwy zatrzymał się w Warszawie. Był inteligentny, spostrze-

gawczy i bardzo zainteresowany wszystkim, co w ciągu kilku godzin starałem się mu pokazać. W Polsce był po raz pierwszy. Warszawa mu się podobała. Jednak na pożegnanie powiedział to, czego mimo wszystko nie mogłem się u niego doszukać ani w ubiorze, ani w akcencie, czy też od-ruchach, a mimo to powtórzył mi dwa razy — właściwie moją ojciec nazywał się Grzyb, a mnie dał na imię Franciszek. Franciszek Grzyb, a ja powtarzam: Frank Grib, bye, bye, see You again.

Myslałem — jak tu można mówić o koczowniczości naszej Polonii? Tętno z polskich dzieł jest już niewiele, ale oni, chociaż znają tę swoją polską gwiarę, potrafią w rozmowie przywrócić obraz opuszczonej wsi, pragną chociaż raz zobaczyć swój stary kraj. A tutaj, mister Grib, nie zna polskiego, nie mieszka w znanym z tych „polskich” miast, nie ma rodziny w kraju i nie należy do żadnego stowarzyszenia polonijnego. Na dodatek ma żonę Irlandkę. Jak to się stało, że we Franku Gribie nie doszukałbym się potomka Józefa Grzyba?

Kiedy w 1918 roku odrodziła się ta, na którą w ich umysłach składało się tysiące biednych, głodujących wsi i miasteczek, co odważniejsi zaczęli brać kapitał do kieszeni i wracać. Ale stara ojczyzna, pełna nie zaleczonych ran, stając na słabych nogach, nie ponad czule słowo nie mogła im dać. Nastąpiły pierwsze rozczarowania. Ponad 200-tysięczna rzesza reemigrantów, tracąc pieniądze i nadzieję, wróciła na szlak emigracyjny. Ich przykre doświadczenia potwierdził Hallerczyk. W amerykańskim tygliku wrzało: „Ameryka dla Amerykanów”. Więc wśród nich padło hasło: „Wychodźstwo dla wychodźstwa”. Nastąpił okres przyjmowania obywatelstwa i budowania swoich losów w nowej ojczyźnie. Tym bardziej, że w życie zaczęło wchodzić nowe pokolenie, urodzone już w Stanach. I ono to w bezwzględnej konfrontacji z grupą anglosaską dostrzegło swój niski status i wyzyskiwanie, prowadzące do dyskryminacji, zrozumiało, że przyczyną tego leżą w braku znajomości angielskiego, ograniczonym cenzurze wykształcenia, zdobytego w parafialnej szkółce i hermetyczności ich życia parafialnego. Dlatego ta część nowego pokolenia, która pragnęła awansu, przede wszystkim ekonomicznego, zaczęła się odsuwać od swojej lokalnej społeczności.

Ona to, pragnąc zatrzeć swoje pochodzenie i maksymalnie adaptować się do nowego środowiska, pozbywała się polskich nazwisk, imion, starała się zawierać mieszane małżeństwa, nie mówiąc o podstawowym warunku — języku. I właśnie ten moment zaważył na zacieraniu się poczucia pochodzenia etnicznego. Proces asymilacyjny w warunkach amerykańskich był konieczny. Henryk Sienkiewicz w „Listach z Ameryki” (1879) uważał, że proces ten zbyt szybko postępuje, ale właśnie ten etap przyspieszył odchodzenie od polskich „gett”, a właściwie od polskich slumsów.

NOWI PRZYJACIELE NASZEGO KRAJU

W 1829 roku, wśród trzydziestu uprawnionych do głosowania obywateli Chicago, było dwu Polaków. W latach siedemdziesiątych XIX wieku najstarsza dzielnica



poliska w Chicago dostała nazwę „Little Poland”. A jednak z początkiem XX wieku zaczęli do niej napływać murzyńscy lekarze, adwokaci, technicy, zmuszając Polaków do wskaniania w dzielnice włoskie, a Włochów do opalnawiania dzielnic irlandzkich. Zostawiali więc dzielnice, a później miasteczka, w których nazwach uwieczniali swoje tęsknoty. Dlatego nie słychać w siedemnastu Warszawach, które są na terenie USA, polskiego, nawet, jeżeli chodzi o to pierwsze pokolenie, co rodziło się w kraju.

Obecnie już wszyscy mówią o awansie polskiej grupy. W Kongresie mają 11 przedstawicieli (1 senator, E. Muskie) — Amerykanów polskiego pochodzenia, w wielu zarządach miast dostają kluczowe stanowiska. Coraz częściej wkraczają do dziedzin takich, jak dziennikarstwo, film, telewizja. W życiu naukowym nazwiska ich znajdują się na wielu uniwersytetach i w instytucjach. Świadczy o tym spis Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku z 1969 roku, który podaje dwa tysiące nazwisk polskiego pochodzenia, z wyższym wykształceniem w wielu dziedzinach. Fundacja Kościuszkowska szacuje ich na cztery tysiące. Ale przede wszystkim wzrosła ich siła ekonomiczna. Dlatego dziś mogą pozbyć się kompleksu niższości wobec dominującej grupy anglosaskiej. Nie potrzebują zacierać swojej polskości tak, jak robił to Frank Grib. Wprost przeciwnie,

właśnie ci, którzy ją zatracili, coraz częściej do niej świadomie nawracają. Bo wiedzą, że Amerykanie polskiego pochodzenia mają niemal równie stare dziedzictwo, jak anglosasi.

Pierwsi Polacy na ziemi amerykańskiej znaleźli się już w 1608 roku, wyprzedzając o 11 lat słynny „Mayflower” z ojcami „pielgrzymami”. Wiedzą, że nie tylko Pułaski i Kościuszko, Krzyżanowski i Karge budowali to, czym chlubią się Stany Zjednoczone, ale przede wszystkim znają wartość, wielką wartość tego, co ręce ich dziadków i ojców dały temu najbogatszemu narodowi. Zrozumieli wreszcie dlaczego ich przodkowie, mimo wszystko, nie pragnęli zapomnieć swojej starej ojczyzny.

Dlatego coraz chętniej odwiedzają Polskę (w 1969 roku — 30 tysięcy, a w 1970 roku — 80 tysięcy), a tym samym mają możliwość poznawania jej sukcesów i dorobku w okresie dwudziestopięciolecia. Widzą jej ustaloną pozycję we współczesnym świecie. Z drugiej strony zaś widzą kraj, który ma nie tylko milenijną skarbnicę kulturową, ale właśnie teraz bardzo wiele wnosi do światowej kultury.

Te nowe pokolenia Amerykanów polskiego pochodzenia, to nowi przyjaciele naszego kraju, zajmujący miejsce odchodzących pokoleń, które reprezentowały ją przede wszystkim (choć nie wyłącznie) swą ciężką pracą fizyczną.

POLONICA

DWA DNI W WARSZAWIE

Tygodnik hamburski „Die Zeit” drukuje od pewnego czasu serię artykułów przeznaczonych dla tych, którzy pragną w sezonie letnim odwiedzić stolice krajów europejskich. Dotychczas ukazały się artykuły o dwudziestu siedmiu stolicach. W numerze z dnia 30 kwietnia br. długoletni korespondent prasy zachodniemieckiej w Polsce, Hansjakob Stehle (nawiasem mówiąc autor przyjaźnej dla nas książki „Nachbar — Polen”), opublikował duży artykuł pt. „Dwa dni w Warszawie”, w którym opisuje, co w ciągu dwóch dni turysta

powinien zobaczyć w naszej stolicy.

Autor nie szczędzi słów podziwu i uznania dla od-budowanego z takim pieczytem Starego Miasta, zaleca zwiedzić pałac Warszawy, Muzeum Narodowe i Muzeum Wojska Polskiego, niektóre kawiarnie (gdzie, zdaniem jego, manifestuje się styl życia i humor Polaków) oraz Wilanów, siedzibę Jana Sobieskiego. Z wódek poleca on żubrówkę, starą i jarzębiak, natomiast gani polskie piwo (pewnie nie miał okazji pić żywieckiego).

Hansjakob Stehle, znający świetnie język i historię Polski, pisze o wszystkim ze znanstwem, wy-czuciem i zrozumieniem. Artykuł swój kończy słowami: „Ale jeśli wiecz-

rem wyda się to miasto nazbyt ciche, jeśli niezliczone światła w oknach mówią coś o ciasnocie przestrzeni, w której żyją mieszkańcy, trzeba pamiętać o jednym: niewiele było lat w historii tego miasta, kiedy mogło ono spać spokojnie”.

JK.

KONCERTY ŚLĄSKIEJ ORKIESTRY WE FRANCJI

Wielka orkiestra symfoniczna polskiego radia i telewizji w Katowicach odbywa tournée po Francji, pod auspicjami Association Française d'Action Artistique. Orkiestra ta, grająca pod batutą Kazimierza Korda, dała koncerty w wielkiej sali paryskiego Domu Radia, w Théâtre de l'Ouest Parisien oraz (dwu-

krotnie) w Bordeaux. W programie: piękny utwór Lutosławskiego „Muzyka żałobna”, na cześć Bartoka, pieśń Mahlera i Strawińskiego. Krytyka paryska najwyższemu ocenia grę orkiestry śląskiej przy wykonaniu utworu Lutosławskiego oraz śpiew Andrzeja Hiolskiego. Jak widać, muzyczna współpraca polsko-francuska rozwija się coraz lepiej, niedawno odbyły się koncerty pianistki francuskiej, Marie-An-toinette Pietet w Warszawie, Katowicach i Gliwicach. Po pamiątkowych zeszłorocznych wystawach polskiej sztuki w Paryżu, które przez cztery miesiące śledzący tłumy widzów, po „polskim sezonie” w teatrach paryskich (Gombrowicz, Witkiewicz, Rittner, Dobrzański, Maku-

szński), sukcesie odniesionym przez przekład „Kochanków z Marony” Iwaszkiewicza, jak również licznych audycji w radio paryskim i w telewizji, triumfalne tournée katowickiej Filharmonii stanowią nową manifestację polsko-francuskiej przyjaźni. Na przyszły rok projektowane jest wystawienie „Dwóch teatrów” Szanławskiego w Théâtre Municipal de la Ville de Paris, umieszczanie „Panny Malczewskiej” i sztuk Cwojdzkiego w programie radia „France-Culture”, opublikowanie nowych sztuk Witkiewicza przez wydawnictwo Gallimard, w tłumaczeniu Jąd-wigi Kukulczanki oraz opublikowanie powieści Piotra Wojciechowskiego. Wejdą także na afisz „Szew-cy” Witkiewicza oraz „Aby

podnieść różę” Andrzeja Trzebińskiego. W. N.

NOWY ZESPÓŁ „STRZECHY”

Aktywnie działający Związek Polaków „Strzecha” w Austrii doprowadził przed kilkoma miesiącami do powstania w Wiedniu „Szkółki polskiej”, prowadzonej przez Małgorzatę Bisanz. Z szkółki tej zrodził się dziecięcy zespół artystyczny, który zadebiutował w dniu 3 kwietnia w półgodzinnym programie rozrywkowym „Dzieci — Matkom”. Program ten zostanie powtórzony w maju z okazji Dnia Matki.

Obok zespołu teatralnego jest to drugi zespół artystyczny, działający przy „Strzesze”. (er)

POTRZEBACH DZIELNIC — MÓWIĄ:

Dalszy ciąg ze str. 1

przysługuje prawo do mieszkań kwaterek. Jest ich jednak za mało w stosunku do potrzeb i istnieje pilna potrzeba zwiększenia liczby tych mieszkań z gestii kwaterunku.

Otwieramy nowy plac budowy między „Adasim” a „Domusem”, na wschód od Piotrkowskiej. Do dziś nie wiadomo jednak, jak ma wyglądać pierwszy dom, który stanie w tym osiedlu mieszkaniowym. W tej sprawie nie zapadły jeszcze decyzje.

Proponujemy „rozgęszczenie” śródmieścia głównie z uwagi na potrzeby komunikacyjne. Pracuje tutaj około 130 tysięcy ludzi, których trzeba dowieźć do pracy i zapewnić im wygodny powrót do domów. Trzeba usprawnić arterie przebiegające przez śródmieście do innych rejonów miasta. Komunikacja musi być szybka, sprawna i bezpieczna. Wiele znowu problemy funkcjonalnej zabudowy śródmieścia. Sprawy te, oczywiście, załatwi musiałem. I tak powróciliśmy do centralnej kwestii, wokół której obracała się nasza rozmowa — do potrzeby szybkiego opracowania precyzyjnych planów kształtu Dzielnicy Śródmiejskiej. To już nie potrzeba — to konieczność. (st)

JANINA MACKIEWICZ
przew. Prez. DRN — Polesie

Polesie jest dzielnicą bardzo zróżnicowaną, składającą się z dwu jakby odrębnych całości. Pierwsza z nich, mieszcząca się w obrębie śródmieścia, między Wólczańską a linią kolei kaliskiej, jest gęsto zaludnioną dzielnicą starego i nowego budownictwa mieszkaniowego, — wysokiego. Jednocześnie skupia 70 dużych zakładów przemysłowych, głównie włókienniczych oraz metalowe, spożywcze i inne. Np. tu mieszczą się zakłady mleczarskie, mięsne i piekarnicze. Po drugiej stronie kolei kaliskiej znajdują się tereny o innym charakterze: nowe osiedla mieszkaniowe — Karolew, Retkinia, Nowe i Stare Złotno, Zdrowie (budownictwo indywidualne). Specyfika dzielnicy uwiaryściła się najwyraźniej w liczbach. Na 3.757 ha ogólnej powierzchni, tereny za-

budowane zajmują 849 ha (tu mieszka 80 tys. mieszkańców z ogólnej liczby 124.330), 1.491 ha — tereny rolne (mamy 768 gospodarstw wiejskich) i 440 ha — tereny zielone (dwa największe łódzkie parki: Poniatowskiego i Zdrowie).

A więc prawie dwie trzecie mieszkańców dzielnicy mieszkają na niewielkim stosunkowo terenie, w starym, czynszowym budownictwie. Dlatego też podstawowy problem dla Polesia stanowią remonty kapitalne i bieżące. Przenaczamy na nie 60 mln zł rocznie, znacznie więcej, niż inne dzielnice, ale jest to za mało w stosunku do potrzeb. Należałoby zwiększyć nakłady, szczególnie na remonty bieżące, które zabezpieczają domy przed remontami kapitalnymi. Niestety, moc przerobowa przedsiębiorstw remontowo-budowlanych jest za mała, a organizacja i przebieg remontów pozostawia wiele do życzenia.

Z remontami wiąże się jeszcze jedna, istotna sprawa — podłączanie remontowanych budynków do sieci wodociągowo-kanalizacyjnej i centralnego ogrzewania. Łącznie z nowym budownictwem, podłączonych mamy do sieci wodociągowo-kanalizacyjnej 73 procent budynków. Nie jest to jednak równoznaczne z instalacją urządzeń sanitarnych. Np. tylko 52 proc. domów posiada tzw. splukiwane ubikacje. Z sieci ciepłowniczej korzysta 15,5 proc. budynków (15 proc. stanowi nowe budownictwo mieszkaniowe).

Drugim, niezmiennie ważnym problemem naszej dzielnicy, są sprawy komunikacyjne, a wśród nich na pierwszym miejscu budowa nawierzchni dróg i ulic. Bowiem na 230 ulic o łącznej długości ponad 165 tys. m bież. tylko 39 proc. ma nawierzchnię uszlachetnioną, 11 proc. pokrytych jest kamieniem polnym, a 50 proc. to polne drogi, wyspane szlaką. Budowa ulic jest więc w naszej dzielnicy sprawą palącą. Tymczasem większość mocy przerobowych w tej dziedzinie kierowana jest do nowych osiedli mieszkaniowych.

Wiele jest potrzeb i w innych dziedzinach życia dzielnicy. W złej sytuacji znajduje się handel. Nie mamy ani jednego domu towarowego, ani jednego sklepu typu delikatesów. Większość placówek handlowych mieści się w starych, ciasnych lokalach, bez odpowiedniego zaplecza. W dalszym ciągu nie są właściwie wykorzystane hale targowe przy Pl. Barlickiego, przygotowania do przebudowy hali trwają zbyt długo.

W zakresie służby zdrowia mamy też wiele pilnych potrzeb. Np. dzielnicowe laboratorium analityczne, przychodnie specjalistyczne — mieszczą się poza terenem dzielnicy, w złych warunkach lokalowych. Przychodnia skórno-wenerologiczna znajduje się w ciasnym baraku, a wiele przychodni rejonowych w starych budynkach.

Dlatego też od kilku lat postulujemy wybudowanie dzielnicowej przychodni, która by rozwiązała najpilniejsze potrzeby dzielnicy. Dziś możemy powiedzieć, że decyzja już zapadła i w latach 1972—75 u zbiegu ulic Skłodowskiej-Curie i Łąkowej stanie „pałac” służby zdrowia dla dzielnicy Polesie.

W dziedzinie oświaty mamy również spore potrzeby. Liczba szkół w części śródmiejskiej jest wystarczająca, brakuje natomiast szkół na Kozinach, Karolewie, trzeba też myśleć już o szkole dla Retkinii. Z wyjątkiem basenu ŁKS uczniowie 26 szkół naszej dzielnicy nie mają ani jednego basenu kąpielowego, ani jednej pływalni. I jeśli już doszliśmy do spraw

rekreacji, to wciąż pozostaje otwarta sprawa terenów zielonych na Zdrowiu i wykorzystania ich na park kultury i wypoczynku, wesołe miasteczko, czy inne formy wypoczynku dla łódzian.

JACEK SURMACKI —
przew. Prez. DRN Bałuty

Potrzeby dzielnicy są niemałe — dokonujemy właśnie bilansu potrzeb w różnych dziedzinach — od budownictwa do służby zdrowia i kultury. Dokonałmy na przykład spisu domów, które z przyczyn technicznych powinny być wyburzone już dziś... W takich domach mieszka 3.100 rodzin. Ponad dwa tysiące wniosków o mieszkanię leży nie rozpatrzonych, bowiem brak jeszcze uchwały Rady Ministrów, ustalającej kryteria przydziału. A przecież jest jeszcze problem rezerwy mieszkaniowej, potrzebnej w wypadkach wyroków sądowych o rozdziale mieszkania (rozwoły), decyzje o wykwaterowaniach itp. Za każdym takim wnioskiem, a jest ich około tysiąca, kryje się konkretna ludzka sprawa, często bolesna i tragiczna, którą rozkładać może właśnie fakt przydziału mieszkania. A na te sprawy nie mamy rezerwy mieszkaniowej.

Inny problem — drogi. Mamy na Bałutach 320 km dróg, z czego 114 km o tzw. trwałej nawierzchni. Stan techniczny tych dróg pozostawia wiele do życzenia, pomijając nawet fakt, że przeciętnie rocznie wydajemy 500 zezwoleń na wykopy. Wiemy, że to konieczność, ale jak to rzutuje na i tak nie najlepszy stan dróg? Powinniśmy bieżąco konserwować nawierzchnię. Aby temu podolać potrzebujemy co najmniej 160 ludzi, bazy i dobrego sprzętu. A jest... 70 osób, kiepski sprzęt i praktycznie żadnej bazy. Poza tym brak w ogóle perspektywicznego planu budowy dróg i nigdy nie wiemy, która droga — ulica wypadnie nam z bieżącej realizacji.

Poważna sprawa to kapitalne remonty. W ciągu trzech ostatnich pięćdziesięciu lat spadła nam wartość nakładów na te cele. Robimy, co prawda, spis budynków,

które można na stałe adaptować, ale jeśli budynek znajduje się na terenie zastrzeżonym pod inwestycje? Brak szczegółowych planów urbanistycznych powoduje, że na zastrzeżonych terenach nie można — nieraz przez lata — dokonywać żadnych adaptacji budynków. Użytkujemy jednak dodatkowe izby, jeśli względy techniczne i rachunek ekonomiczny na to pozwalają. Np. na osiedlu Mickiewicza przez podniesienie dachów otrzymamy około 60 nowych mieszkań. W skali dzielnicy spodziewamy się w podobny sposób uzyskać dodatkowo ok. 14 tys. m kw. powierzchni mieszkalnej.

Zmieniła się na Bałutach struktura mieszkaniowa — jest więc zapotrzebowanie na sieć lecnictwa otwartego, dostosowaną do tej struktury. A choćby na Teofilowie, gdzie mieszka 50 tys. ludzi, jest przychodnia na 20 tys. Brak też prawidłowo rozmieszczonej sieci przychodni specjalistycznych. Chcemy również doprowadzić do nowej struktury organizacyjnej higieny szkolnej, tworząc poradnię specjalistyczną dla dzieci. Problem to niezwykle istotny, niestety są trudności z kadrami lekarzy specjalistów, bazą lokalową. W ogóle bałucka specjalistyka i sanitariat nie posiadają odpowiednich pomieszczeń.

Opracowujemy też plan sieci przedszkoli, szkół i żłobków, dostosowanej do nowej struktury mieszkaniowej. Stwierdzamy zły stan szkół specjalnych, jest to zresztą osobny problem przygotowania zawodowego młodzieży umysłowo ociężałej. Nie jest także najlepiej z Domami Dziecka. Na Bałutach jest sporo rodzin moralnie zagrożonych — niestety — czas, jaki upływa od momentu pozabawienia rodziców praw rodzicielskich do umieszczenia dziecka w zakładzie jest niesłychanie długi. Potrzebny jest więc, właśnie na Bałutach, nowy Dom Dziecka.

Potrzebny także Dom Kultury, strasznie złym stanem technicznym bałuckie kina. Jest ich zresztą mało — od Bałuckiego Rynku na wschód i zachód — ciągnie się kinematograficzna pustynia.

Wracając do innych spraw. Jako jedyni w Łodzi opracowaliśmy program rozwoju zaplecza technicznego MZBM. Kiedy będzie realizacja? Nie wiadomo, jak się znajdują środki na ten cel. W obecnej



„Artysta” wśród artystów

Dalszy ciąg ze str. 1

MO — Bałuty, gdzie ma on obowiązek codziennego meldowania się, przyszedł na spotkanie do kawiarni „Irena”. Jest to chyba jeden z nielicznych punktów gastronomicznych w naszym mieście, gdzie jego niezwykle talent nie został jeszcze w pełni ujawniony. We wszystkich śródmiejskich lokalach wyższej kategorii — a takie tylko uznaje — jest gościem raczej niemiłe widzianym.

Stanął więc przede mną mężczyzna potężny, zwalisty, jak to się trywialnie mówi — chłop ślaski, w tyłku szeroki, a w barach wąski. Określenie może niebyle wytworne, lecz w tym wypadku tak pasuje do naszego bohatera, jakby dla niego specjalnie zostało wymyślone.

— Wszystko dokładnie opowiem — zagaił. — Ale proszę tylko bez nazwiska i bez fotografii.

— To znaczy bez prawdziwego nazwiska? — spytałem.

— Tak, tak, o to chodzi.

— Dobrze — zgodziłem się. — Ale porozmawiamy szczerze, tak, jak dziennikarz prawdziwy z dziennikarzem fałszywym tylko potrafi. Czy pan mnie uważa za wroga, czy za przyjaciela?

— Zobaczymy — odrzekł dyplomatycznie, co jak na absolwenta podstawowej szkoły specjalnej, wydało mi się rzeczą zaskakującą.

— Zna pan wszystkich w tym mieście. Czy mnie również?

— Oczywiście, redaktor Ba-dziak.

— Czemu to przypisać, że pan wstydzi się swego prawdziwego nazwiska, panie Zommer? Pański ojciec jest przecież weteranem ostatniej wojny, kapitanem w stanie spoczynku, posiada więcej bojowych orderów, niż pan lat. Ja na pana miejscu szczerzyłbym się z takiego ojca.

— A ja nie jestem tego taki pewien. Pracowałem przez kilka dni jako windziarz i poznałem ładną dziewczynę. Gdy jej powiedziałem, co robię i jak się nazywam naprawdę, wysmiała mnie, nie uwierzyła. Kiedy mówiłem prawdę, nikt nie chce w to wierzyć, kiedy kłamię, wierzą mi wszyscy. Biorą mnie za malarza, za reżysera, a w ostatecznym wypadku za studenta szkoły filmowej, tylko nie za gościa bez żadnego zajęcia i zawodu. Ja nie potrzebuję się pod nikogo podsywać, wystarczą tylko, że nie protestuję. Z początku było mi trochę głupio, później przywykłem. Sprawiało mi to frajdę, a w końcu zaczęło mi tego brakować.

— Chce pan przez to powiedzieć, że stał się ofiarą własnego wyglądu, własnej aparycji?

— Na to wychodzi.

W tym miejscu mała dygresja. Trzeba przyznać, że argumenty młodego człowieka faktycznie nie są pozbawione pewnej słuszności. Ma on dziewiętnaście lat, a wygląda jak swój własny dziadek. Nosi brodę, wąsy i bokobrody, które dawniej mieli tylko marszałkowie, potem ich lokaje, a dziś prawie wszyscy mężczyźni przed trzydziestką, a także i wielu po czterdziestce. Gdyby się nim dobrze zajął jakiś uczciwy fryzjer, z gąsienicy włosów wyłoniłaby się nam twarz dziecka, a tak, widzimy przed sobą postać,

wyglądającą godnie, jak skrzyżowanie weneckiego doży z wojownikiem Dżyngis Chana. Prawda natomiast jest taka, że najpierw jego zaczęto brać za artystę, a dopiero potem on zaczął nabierać artystów. Wepchnięto go niejako w rolę. Najczęściej pracował na numer z samochodem, który mu się przed chwilą zepsuł. Podchodził do upatrzonej ofiary i mówił: „Cześć, stary, co tam słychać? Dawno się nie widzieliśmy. Wiesz, zepsuł mi się samochód, pożycz stówę, za godzinę ci oddam, itd.”. Kobiety oczarowywał trzema wyuczonymi na pamięć zdaniem: „Od dawna chciałem panią poznać...”, „Pani jest w moim typie...”, „Marzyłem zawsze o takiej kobiecie...”.

— Czy pan się uważa za oszust, czy za złodzieja?

— Oszustem może jestem, ale złodziejem — nigdy. Nic nikomu nie ukradłem, nikogo też nie pozbiliem, ani nie skrzywdziłem, ani nie obraziłem.

— Jak się to wszystko zaczęło?

— To było już dawno, należałem do zespołu artystycznego w MDK. Kiedyś podczas zabawy zrobiono nam zdjęcie. Pokazywałem to zdjęcie i nikt mnie nie brał za równieśnika widocznych na nim dzieci, więc zacząłem dla zgrzywów opowiadać, że jestem reżyserem tego zespołu. Chwyciło. Wcześniej zacząłem więc udawać dorosłego, poznałem jedną Czeszkę, tresserkę lwów w cyrku, która

zabrała mnie z sobą w drogę. Jeździłem z tym cyrkiem przez dwa sezony, byłem kłownem, ale w tajemnicy przed dyrektorem próbowałem tresować młode lwy. Wymyśliłem sobie nawet własną teorię tresury, niestety, przylapano mnie na tym i wypędzono z cyrku. Wtedy poznałem pewną starszą aktorkę. Zaopiekowała się mną i ona pierwsza wprowadziła mnie do łódzkiego środowiska artystycznego. Może pan pomyśleć, że jestem zarozumiały, a ja mam naprawdę powodzenie u kobiet, przeważnie u starszych. Miałem ich w swoim życiu bardzo dużo, chciałbym mieć jednak równieśniczkę, koleżankę, partnerkę. Tesknję za przyjaciółmi.

— Chłopcze, co wobec tego sądzisz o miłości?

— Zaczyna się od tego, że ja nie wiem, co to jest miłość. Po-wiem panu szczerze, ja się prze-pałem prawie ze wszystkimi aktorami pewnego teatru w Łodzi i wcale mi to nie sprawiło przyjemności. Położę się raz z kobietą do łóżka, to ona mi się trochę znudzi, za drugim razem znudzi mi się całkiem.

— Czyżby obecnie istniała moda wśród starszych pań na młodych chłopców?

— Ja nie wiem, może. Kiedyś jedna pani doktor zabrała mnie do Zakopanego. Dała mi do dyspozycji książeczkę PKO i wóz. Nie spytała nawet, czy mam prawo jazdy. Oczywiście, nie mam.

sytuacji usługi lokatorskie są więc praktycznie tylko namiastka.

Kończąc, trzeba powiedzieć, że na Bałutach zaszły przecież kolosalne zmiany, głównie w budownictwie mieszkaniowym, jego ilości i standardzie, także i w innych dziedzinach. Ale jak się te zmiany mają do aktualnych wymagań dzielnicy? Niech na to pytanie odpowie ten telegraficzny skrót katalogu aktualnych potrzeb nowych Bałut.

EUGENIUSZ KOSMALA przew. Prez. DRN — Widzew

Widzew — to dzielnica dużych zakładów przemysłowych. LŻPB im. Obrońców Pokoju — „Uniontex”, ZWS „Anilana”, Widzewskie Zakłady Maszyn Włókienniczych „Wifama”, WZPB im. 1 Maja, ZPB im. H. Sawickiej — „Ariadna”, „Elester” — to największe z nich. Niektóre przeszły częściową modernizację i wymagają dalszej rozbudowy i unowocześnienia. I to jest pierwsza, najważniejsza potrzeba dzielnicy, która jest też potrzebą całego miasta.

Drugą potrzebą jest budownictwo mieszkaniowe. W Łodzi czeka na mieszkania około 40 tys. rodzin, część z nich to mieszkańcy Widzewa. Mamy wprowadzić trochę nowych bloków, nowe osiedle Józefa, ale przez ostatnie lata na Widzewie budowano mało. Widzew wyludniał się, bo jego mieszkańcy otrzymywali nowe mieszkania bądź na Teofilowie, bądź na Dąbrowie. W rezultacie tego dzielnica liczy 80 tys. mieszkańców i jest mniejszą pod tym względem od czterech pozostałych.

Najpilniejszą potrzebą jest zatem rozwijanie budownictwa mieszkaniowego na Widzewie, ale nie dlatego, że mamy ambicje awansowania z ostatniego miejsca i przeskoczenia któregoś z pozostałych dzielnic Łodzi. Potrzeba ta wynika właśnie z faktu, że na Widzewie jest tyle zakładów pracy i dlatego tutaj również powinny powstawać dzielnice mieszkaniowe. Poza tym rozwój budownictwa mieszkaniowego pociąga za sobą rozwój budownictwa towarzyszącego: sieci wodociągowej, placówek handlowych, usługowych i kulturalnych. Warunkuje również rozwój komunikacji wewnątrz dzielnicy, jak też połączeń dzielnicy z innymi rejonami miasta.

Komunikacja dla Widzewa to w pierwszym rzędzie połączenie dzielnicy ze śródmieściem i poprzez śródmieście z innymi osiedlami mieszkaniowymi, a także uporządkowanie szlaku komunikacyjnego, prowadzącego w kierunku Tomaszowa Maz., co nie tylko utrudnia życie wszystkim wyjeżdżającym z Łodzi w tym kierunku, ale też samym mieszkańcom Wierzbna. Stąd konieczność zmiany nawierzchni ulicy Rokicińskiej od ulicy Augustów do granic miasta.

Komunikacja dla Widzewa — to również dogodne połączenia wewnątrz dzielnicy, a więc to łatwość przejazdu ze Stoków, Olechowa i Zarzawa. Jeszcze w tym roku uda nam się poprawić komunikację ze Stokami, przedłużając istniejącą linię autobusową aż do dzielnicowego szpitala na Stokach. Pozostanie natomiast do rozwiązania problem połączenia z Olechowem. PKP w nowym rozkładzie zlikwidowało 9 pociągów, jakie w ciągu doby ułatwiały komunikację na linii Łódź Ka-

liska — Olechów — Widzew. W tej sytuacji staramy się o połączenie linii autobusowej Olechowa z pl. Zwycięstwa.

Do pracy na Widzewie przyjeżdża wiele tysięcy osób. Po pracy powinni oni możliwie szybko dostać się do śródmieścia lub innych dzielnic Łodzi. A to dlatego, że nie są w stanie zrobić na Widzewie niezbędnych zakupów, czy zjeść obiadu. Dzielnica na gastronomicznej mapie miasta stanowi „biała plama”. Mamy tu tylko jedną restaurację, dwa bary i ani jednego baru mlecznego. Niewielka jest też możliwość zaopatrzenia się w artykuły spożywcze czy pochodzenia przemysłowego.

Możliwość łatwego kontaktowania się mieszkańców Widzewa z innymi dzielnicami, a w tym i ze śródmieściem, umożliwi im pełniejsze korzystanie z łódzkich placówek kulturalnych. Na Widzewie są cztery kina (dwa na Stokach), zakładowy dom kultury ZPB im. H. Sawickiej — „Ariadna” i kilka świetlic. Obecny stan komunikacji utrudnia korzystanie z teatralnych przedstawień. Wiele osób rezygnuje ze spektakli teatralnych w obawie, że po godz. 22.30 będzie miało kłopoty z dostaniem się do domu.

Na Widzewie jest sporo terenów rolniczych na obrzeżach miasta. Do terenów tych trzeba jak najszybciej doprowadzić wodę, tak bardzo potrzebna, szczególnie przy uprawach ogrodniczych. Mamy jednak znaczną trudność w rozwijaniu sieci wodociągowej. Występuje to szczególnie jaskrawo na Sikawie, a rozwiązać tę trudność można stosunkowo łatwo — trzeba po prostu połączyć wodociąg między ul. Janosika i Brzezińską, aby udostępnić wodę znacznej części mieszkańców z Sikawy. Na bardziej radykalne rozwiązania zaopatrzenia w wodę trzeba będzie jednak poczekać do uruchomienia kanału Sulejów-Łódź.

EDWARD JAGODZIŃSKI — przew. Prez. DRN — Górna

Dzielnica nasza, jedna z większych w Łodzi, bo liczy ponad 200 tys. mieszkańców, jest dzielnicą peryferyjną w sensie dosłownym i przenośnym zarazem. Dosłownym, gdyż większość jej obszaru stanowią tereny włączone do granic miasta dopiero po wojnie tzw. Zatorze (Ruda i Chojny) zamieszkiwane przez blisko 50 tysięcy ludzi. A były to tereny bez mała wiejskie, pozbawione wodociągów i kanalizacji, a nawet dróg utwardzonych. Dlatego też, mam teraz na myśli sens przenośny słowa: peryferyjny, stopień zaniedbań odrabianych-mozolnie — po wojnie jest niewątpliwie na Górnej większy niż w innych dzielnicach miasta.

Problemem numer jeden jest woda, a ściślej jej brak, niemal na całym administracyjnym przez nas obszarze z wyjątkiem nowych osiedli mieszkaniowych. Dowożymy wodę beczkowozami dla mieszkańców do 200 punktów. Jest to bardzo uciążliwe zarówno dla mieszkańców, jak i dla nas, nie zawsze bowiem transport udać się na czas zorganizować. Na polnych drogach, wysypanych zaledwie szlaki, których zresztą nie jesteśmy w stanie naprawić, bo i szlaka jest dziś materiałem deficytowym, ciężkie beczkowozy grzezną. Zresztą drogi, nawierzchnia dróg, stwarzają nam znacznie więcej proble-



Fot. R. Jaworski

mów. Nawet niezłe drogi są w niedostatecznym stopniu konserwowane, nie robi się na nich nic poza naprawą dziur, chociaż często wymagałyby zdecydowanej przebudowy. Niestety, dokuca nam brak tzw. mocy przerobowej.

To wszystko wiąże się z zagadnieniem komunikacji na terenie dzielnicy. I tu wiele wymagałoby zmiany. Przecież nawet nowe drogi budowane w osiedlach nie uwzględniają współczesnych wymogów cywilizacyjnych, są drogami komunikacyjno-pieszymi, tak wąskimi, że z trudem wymiatają się na nich dwa pojazdy. A przecież postawiliśmy w kraju na rozwój motoryzacji i nieuwzględnienie tego rozwoju w planach urbanistycznych jeszcze problem ten zaostrzy. Tym bardziej, że i linie komunikacji masowej, zarówno tramwajowe jak autobusowe, nie rozwijają się dostatecznie szybko. Istnieje pilna potrzeba zwiększenia taboru i częstotliwości pojazdów na istniejących już liniach i uruchamianie nowych linii, zwłaszcza autobusowych, w budujących się ciągach osiedli mieszkaniowych. Zresztą i stara zabudowa ma niedostatecznie rozwinięte linie komunikacyjne, na przykład w rejonie Starego Rokicia. Tam mieszkańcy ulicy Franciszka muszą dochodzić do najbliższego przystanku tramwajowego przy kole obwodowej 2 km.

Równie skomplikowany problem stanowi budownictwo mieszkaniowe ze środków komunalnych. Aktualnie czeka na przydział 900 rodzin, których nie udało nam się wprowadzić do nowych mieszkań

jeszcze w poprzedniej pięcioletce, a potrzeby na rok bieżący sięgają liczby 7 tys. rodzin. Są to wszystkie rodziny, które ze względu na dochody, kwalifikują się do przydziału z budownictwa miejskiego. Tymczasem całe miasto będzie dysponować w najbliższej pięcioletce zaledwie 10 tys. mieszkań z budownictwa rad narodowych, co przy istniejących aktualnie potrzebach nie rozwiąże tego problemu. Tym bardziej, że wskutek naturalnego rozwoju rodzin, jak obliczamy, nawet w nowym budownictwie 4859 rodzin nie posiada własnego mieszkania, są to mieszkania przegęszczone. Średnia powierzchnia 1 izby, sięgnijmy do statystyki, wynosi 15 m kwadratowych. Jest to wskaźnik najniższy ze wszystkich miast w Polsce.

Oczywiście, że tylko najpilniejsze potrzeby a zarazem najdrastyczniejsze sprawy do rozwiązania. Bo przecież dokuca nam niedostateczna ilość szkół w nowych dzielnicach, co sprawia, że musimy sięgnąć do wielozmianowości, która na pewno nie wpływa korzystnie na wyniki nauczania. Nowe osiedla mieszkaniowe pozbawione są równocześnie niezbędnych placówek kulturalnych.

Myślę jednak, że w wyniku raportu sporządzanego aktualnie przez komisję partyjno-rządową, wiele zasygnalizowanych przeze mnie spraw, zostanie rozwiązanych i to na szczeblu miasta, tym samym więc i w skali dzielnicy, którą reprezentuję.

Potrafę samochód prowadzić, bo mnie inna pani tego nauczyła, a poza tym bardzo lubię jeździć taksówkami i zawsze się przysilgałem, jak kierowcy prowadzą swoje wozy. Dużo jeździłem po Łodzi i do Zakopanego pojechałem, i nigdy mnie milicja nie nakryła. Na skrzyżowaniach zawsze mi salutują, bo ja mam wygląd, który budzi zaufanie, prawda? A od tej pani doktor w Zakopanem, to uciekłem. Odbilo mi coś, pojechałem do Krakowa z taką jedną młodą dziewczyną. Po prostu znudziły mi się pieniądze i samochód. Ale w Łodzi ta pani mnie odnalazła i znów się spotykaliśmy. To jest jedyna kobieta, która wie o mnie całą prawdę.

— Która z tych trzech postaci najbardziej ci imponuje: Casanova, Don Juan czy Rasputin?

— Jasne, że Rasputin.

— A który z tych trzech artystów najbardziej ci się podoba: Łazuka, Fedorowicz czy Szczepanik?

— Żaden, najbardziej lubię Jarzębę Stępowskiego. Nie udało mi się go nabrać. Jak poszedłem do niego i powiedziałem, że jestem studentem szkoły filmowej i chcę kręcić o nim film, to mnie poprosił o specjalne zaświadczenie. Strzał się nie udał.

— Ale szalik i czapkę to mu ukradłeś i potem zostawiłeś taksówkarzowi, który cię przywiózł z Warszawy do Łodzi. — Jak to było naprawdę?

— Nie ma o czym mówić.

— To ci przypomnę. Podawałeś się za reżysera łódzkiej telewizji i jeździłeś w tym charakterze z taksówkarzem po całym kraju. Jeden z taksówkarzy zawiózł cię aż do Wrocławia, nocowaliście razem w hotelu „Monopol”. Obiecywałeś mu, że rachunek ureguluję dyrekcja łódzkiej telewizji. Jeździłeś również taksówkami po Łodzi, podając się, z kolei, za lekarza. Chodziłeś także po mieście w białym kitlu z fonendoskopem na szyi. Jeden z taksówkarzy wspominał ci podczas jazdy, że ma chore dziecko, więc natychmiast wyraziłeś chęć przyjazdu mu z pomocą. Pojechałeś z nim do jego domu i zbadałeś dziecko. Czy to wszystko prawda?

— !?

— Milczysz?

— Pracowałem przez tydzień w pogotowiu i dlatego nosiłem kitel. A do Wrocławia mnie zaprosił kierownik tamtejszego kabaretu. Poznałem go przypadkiem podczas Spotkań Baletowych w Łodzi i wziął mnie za reżysera filmowego. Chciał, żebym kręcił film o jego kabarecie, napisał nawet scenariusz.

— Czy to prawda, że niedawno podał się za architekta i wyludził od faceta 3.000 złotych? Twój ojciec mi o tym mówił.

— Bujda.

— Ale to, że podawałeś się za scenografa Teatru Nowego chyba

nie jest budzą? Dopiero autentyczny scenograf tego teatru odebrał ci fałszywą umowę, którą się posługiwałeś dla siebie tylko wiadomych celów.

— Skąd pan to wie?

— Wiem. Wiem również, że w trakcie śledztwa usiłowałeś podrewać aplikantkę w prokuraturze.

— Widziałem ją raz w budynku prokuratury, więc jak drugi raz spotkałem ją w tramwaju, to podszedłem. Powiedziałem jej, że pani prokurator, która prowadzi moją sprawę, to moja dobra znajoma. Uwierzyła. Jak się spytała, po co tam chodzę, odpowiedziałem, że zginał mi samochód. Ale nie z tego nie wyszło i po dwóch dniach wszystko się wydało.

— Czy, jeśli podczas rozprawy sądowej, która cię niebawem czeka, przewodniczącą kompletu sędziowskiego będzie kobieta, to ją również będziesz usiłował podebrać?

— Jak się da, dlaczego nie. Żaluję tylko, że mi zmieniono obrońcę. Była to bardzo miła pani, przychodziłem do niej zawsze z kwiatami. A teraz okazuje się, że będzie mnie bronił mężczyzna.

— Kogo byś chciał powołać na świadka obrony?

— Violetta Villas.

— Dlaczego naciągałeś na pożyczki sławnych artystów?

— Bo od nich najłatwiej pożyczć.

— Czemu z największym upodobaniem udawałeś najczęściej reżysera?

— Bo mnie to bawiło. Artysci, których oglądałem przedtem w telewizji, lub na festiwalu w Sopocie, stawali przede mną, jako reżyserem, a ja mogłem nimi dyktować. To było szalenie zabawne. Robiliśmy próby w hotelu. Ja mówiłem: źle, a oni się męczyli, gdy tymczasem ja nie wiedziałem, co mówić, ponieważ się na tym nie znam. Poza tym ja sam galem rzeczywiście epizody w dwu filmach. W filmie „Niesamowite przygody Marka Piegusa” i „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Zaangażował mnie do filmu Jerzy Afanasjew.

— Czy lubisz czytać książki?

— Nie nie czytam.

— Czy chodzisz do teatru?

— Bardzo mało.

— Do kina chodzisz?

— Nie. Najbardziej to lubię chodzić po ulicach. Czasem, przez całe miasto przejdę. Lubię tylko muzykę i naprawdę, to chciałbym zostać malarzem. Potrafię też grać na pianinie, świetnie jeżdżę na nartach, szpagat wykonam.

— Dlaczego nie chcesz pójść do uczciwej pracy, tylko żyjesz, delikatnie mówiąc, z pożyczek?

— Jestem męczliwy, szybko się denerwuję i nie mogę pracować, choćbym bardzo chciał. Jak miałem siedem lat, wypadłem z okna prosto na głowę i od tamtego czasu coś mi jest.

— Co robisz z pieniędzmi, których tyle pożyczasz?

— Przejadam je. Pożyczam wtedy, kiedy jestem głodny. Wódki nie lubię, papierosów nie palę, koniaków bardzo nie lubię, tylko wino mi smakuje.

— Akt oskarżenia zarzuca ci również kradzież pieszka, chyba go nie zjadłeś?

— Tego pieszka pożyczylem od znajomych i podarowałem jednej artystce z operetki. Zaliła się zawsze, że dostaje tyle kwiatów, a chciałaby kiedyś dostać pieszka. Wiec spełniłem jej życzenie. Niestety, piesek gdzieś zaginął.

Zastanawia mnie, czy ta rozmowa, to jeszcze jedno wielkie oszustwo piekielnie sprytnego chłopaka, czy też szczerą spowiedź chorego człowieka. Może jest zbyt zdrowy, aby się leczyć, zbyt chory, żeby pracować, zbyt nieszcześliwy, żeby go karać i zbyt nieuczciwy, żeby chodzić na wolności. I jeszcze jedna wątpliwość. Czyżby był na tyle inteligentny, że dorósł do poziomu środowiska, w którym się obracał, czy może...?

W każdym bądź razie na pożegnanie rzekomy Marek Zommer poprosił mnie o drobna pożyczkę. Widocznie jest to silniejsza od niego. Słyszałem, że podobno jest jeszcze w Łodzi kilka osób, od których nie udało mu się wyludzić ani jednej złotówki, lecz ja w to nie wierzę.

KAROL BADZIAK

WANDA KARCZEWSKA

KORONA

— „My w domu, później rówieśnicy Małgorzaty w szkole, potem gdy wyszła ze szkoły — jej znajomi, wszyscy zawsze dziwiliśmy się, dlaczego ona tak kłamie, tak zmyśla. Inni mówili — fantazjuje, żyje urojeniami. Z początku Małgorzata nas śmieszyła i złościła, później — niejeden dawał się pociągnąć jej fantazji, bo miała przy tym instynkt przewodzenia, umiała nas porwać, była silna, zwinna jak chłopak i najczęściej też z chłopakami gonila po łąkach i lasach. Mówiła do mnie zabawnie i zawiadacko, niechno służba strzeże domowego dobytku, ja idę w las z giermkami na niedźwiedzia zamiast — Wikta, popilnuj Czarnuli i daj baczenie na gęsi. I biegła z wyróstkami wnyki zakładać w zagajniku, młode wrony z gniazd wybierać, raki z wiślanych korzeni. Lubila się też przebierać: gdy się wieś sposobiła na zapusty, Małgorzata zawsze wkroczyła do przebierańców. Z równą ochotą brała na siebie śmiertelne prześcieradło i kosę w rękę, jak i cieniutkie gielezko i skrzydła anielskie, gdyśmy w salce parafialnej wystawiali szopkę.

Obie, gdy byłyśmy jeszcze paronastolatkami, wdrapywałyśmy się nieraz na ogromną gruszę rosnącą na bloniu przed domem, skąd widać było pola, łąki, gościniec, kopiec Kościuszki i Wisłę w oddali. Ona wtedy ze starych szmat, sznurów i mchu zrobiła platformę pośród konarów i zasiadała na niej jak na tronie. To jest ważne, Mario, słuchaj. Małgorzata wkładała na swoje kędzierzawe, czarne włosy pozłacaną, zapustową koronę, na ramiona — szatę królewską, przyproszoną choinkowym złotkiem, wyciągała rękę i mówiła, widzę przed sobą szeroki biały gościńiec, jedzie po nim złota karoca, a w karocy piękny młody królewicz o jasnych kędziarach. Po mnie jedzie, zabierze mnie stąd, zasiądę obok niego i powiezie mnie daleko do swego pałacu na wspólnie królowanie.

Dziecinne bajki, prawda? Ale ja chętnie słuchałam jej bajceń, bo choć lubiłam naszą wioskę, nasz młody zapiaszczony ogródek z malinami i ze zdziczałymi śliwkami, i miodowe poranki w lecie, i rzekę ciepło błyszczącą, miękką jak aksamit, i zanurzać się w niej lubiłam, jakbym przez tę rzekę wchodziła w soczysty miąższ świata, to jednak urzekały mnie dalekie miasta i wyspy, i dziwaczne ogrody z owocami kokosów i granatów, bo Małgorzata później „jeździła” już nie do Krakowa, a za morza i góry. Wpadałam w jej grę, pytałam, czy aby mnie tam widzi przy sobie. Mówiła, widzę cię, jesteś moją służebną, ścielesz mi łóżko królewskie z siedmiu piernatów, i właśnie wówczas, kiedy ja zaczynałam już wierzyć w to, co ona widziała, w jej królewskość i w moją służebność przy niej, Małgorzata wybuchała śmiechem; ja bardzo cieszyło, i bawiło, jeśli ktoś godził się na jej grę i brał ją naprawdę za kogoś, kogo właśnie udawała. Rzucała nagle we mnie z uciechą garścią ulegalek, albo nahańcanych liści i mówiła, zabiorę cię, knypciu zezowaty, ale śmigaj teraz z drzewa, zagnaj Czarnulę, znowu wlaźła w szkodę. Prędko, nie słyszysz, ojciec się pieknie. Skaranie boskie z tą gadziną, wciąż nam królowanie psuje.

Schodziłam z gruszy, ocierając sobie kolana o spękana, porowatą korę, pedziłam przez kartoflisko; Czarnula była już w sąsiedzkim owsie. Małgorzata komenderowała z góry, nie tak, nie tak, bo ja dalej wpędzisz, od młodnika zabiegaj, sama zawróci. Kiedy nie potrafiłam wegnąć upartego bydlęcia na naszą łąkę, a wyczuwalna stawała się bliskość ojca, który rad był nas poganiać pasem, ale nigdy nie bił, tylko na postrach się za niego chwytal, Małgorzata zeskakiwała ze swego „tronu” aż zlatywała z niej królewska korona, spadały „pańskie” stroje, a ona sama szybkimi, zmiłowatymi ruchami zeslizgiwała się z gruszy i pedziła jak z bicza strzeliła prosto w sąsiedzkie proso. Brała krówsko za rogą, czarowała je pieszczotliwymi słówkami, szmerala po czoło — Czarnula to bardzo lubiła — i ujarzmiała to bydlę, które mnie kopało, bijąc chwostem utaplanym w łajnie.

Małgorzata była mocna i — urokliwa, Czarnula to wiedziała, wiedziała również, że ja byłam słaba, taki niewydarzony pokurek o jednym wyższym ramieniu i krzywym oku. Czarnula nieraz patrzyła na mnie tępo, uporczywie, jakby się temu memu oku dziwiła, aż brałam witkę, smagałam ją, krzycząc wynos się, ty złośliwe bydlę. Za Małgorzatą Czarnula chodziła od małego, jak za matką. Zresztą to samo robiły koty, psy; króliki kicały za nią, że opędić im się nie mogła. O, urokliwa była.

Wiktorcia milknie na chwilę, cała już zanurzona w tamtych latach. Maria słucha czujnie aż Sowa podejmie dalszą wędrówkę w „czas utracony”.

— Ja to myślę, że Małgosia, to czwarte dziecko, które przyszło po wielu latach dzielących ją od naszej starszej siostry, Justysi, zabrala z rodziców całą siłę i urodę na swoje cygańskie, zwinne, mocne ciało; na te swoje polyskliwe, ciemne włosy, na śmiech i fantazję. Dla mnie, a przyszedł w trzy lata później, i dla dwójki młodszego drobiazgu, nie starczyło już ani siły, ani piękności, w niej

się to wszystko zgromadziło. Ja też chodziłam za nią uroczona i słuchałam jej bajd. Wieczorami, gdy trzeba było naciągnąć wody, obie, zanim zaskrzypiała korba i wiadro na łańcuchu wpadło w studnię, stałyśmy wsparte o cembrowinę. Polyski gwiazd i księżycy migotały w czarnym lustrze studni. Ja, przyglupia jeszcze wtedy dziesięciolatka, pytałam, Gosiu, co się tam tak na dnie miechci? A ona, nie wiesz, skarb wielki, ta, co go stamtąd wydostanie, będzie bogata, nie będzie robiła, ani krów pasła, ani po zimnej rosie za gęsiami chodziła, ani w zamróż do obory latala bydlu paszę zadawać, ani w gnoju nie będzie się paprała ze świniakami, tylko wielką panią będzie. Będzie się do południa jak królowa na łóżku ze świeżą słomą wylegiwała, będzie co dzień na śniadanie kolacze z jabłkami zjadła, będzie w butach przy domu chodziła, a nie wdziewała je tylko do kościoła od wielkiego dzwonu. A na sumę powiezie ją czwórka jabłkowitych koni zaprzężonych do karocy na złotych obręczach. Będziemy, jak się nam ten skarb dostanie, co niedzielę na festyny chodzimy, w sam złotogłów i aksamit się stroimy, najświeższe chłopaki będą się za nami uganiały i do tańca nas prosili.

Pytałam, i ze mną, zezowatą, też będą tańczyli? Śmiała się, głupiaś ty moja, wstawisz sobie złoty ząb na samym przodzie, to będą na ząb, nie na oko, patrzyli, a zresztą za krzyg tego skarbu doktorzy ci w mieście oko naprostują, albo zrobią nowe, z szeroką, czarną panienką pośrodku; będą cię chłopaki prosili w tany jak ładna inna, która będzie miała takie, jak ty, nowe piękne oko?

Uzaliłam się raz, jakże to, jedno oko inne i drugie inne? Zaczęłam chlipać, i ramię mam krzywe, kto ze mną zatańcuje? Wtedy Małgorzata chwyciła mnie pod boki, okrzyła mnie koło siebie, pociągnęła w wir, coraz szybszy i szybszy, coraz dalej od studni i chaty. Niosły nas tak nogi po bloniu, po rosie, pod naszą gruszę i stamtąd dalej, na zastodole, pod kartoflisko i żytnie zagony. Ona śpiewała coraz śpieszniej i bardziej rytmicznie, aż mi tehu brakowało od drobiazga stopami, śpiewała swoją ulubioną: „Za górami, za lasami tańczyła Małgorzatka z cyganami”. Tak właśnie, z cyganami, nie z huzarami, jej raczej ciągnął przez wieś cyganie i tabory cygańskie były na myśli, a nie jacyś nieznani huzarzy.

Potem, kiedy ojciec pokonył wieczorne pacierze i wychodził spojrzeć gospodarskim okiem przed nocą na obejście, a przy okazji, co my tak długo tę wodę ciągnie, Małgorzata śmigała z bloniu pod studnię, wrzucała ostro jedno wiadro i drugie, mówiła, ty będziesz wodę do domu nosić, ja będę ciągnąć. No, zabieraj wiadra do kuchni, tata stoi w progu i za pas się trzyma.

Turgalam za nią wiadra, latałam do domu w tę i z powrotem, dźwigałam wodę wieczorami i o południu, a ona naciągawszy jak tylko do wiader, siadała na wiklinowym plotku, pogryzała ziarnka dyni albo słonecznika i śmiała się po cichu; pewnie ze mnie, że za nią robię, a robiłam nad moje siły, a ta jej twarz o złodziejskiej, cygańskiej urodzie złościła się dymnie pod miękkim wiatrem, co od Wisły przez sąsiedzi sad nadpływał i laskotal jej plecy, szyję, mierzwił kędzierzawe włosy. A jeden kosmyk, taki odrostek nad czołem tańczył zawsze „Małgorzatko”, bo ona, siedząc na tym wiklinowym plotku, albo na chrusciowym, przy warzywniku, uderzała lekko stopami w ławkę na przelazku i mruczała „tańczyła Małgorzatka z cyganami”. Ja wtedy cudowałam się jej urodzie i kibici waskiej jak odwołok osy i wierzyłam, że Małgorzata będzie kiedyś wielką panią, królową na dworze. Ładniejsza była od Biernatów z sąsiedztwa, kształconych w mieście, które jedna po drugiej wychodziły za mąż za urzędników, nauczycieli i bogatych kupców. A przecież żadna z nich nie miała tej urody co Gosia, ani tej wesołości i drygu do tańca, do prześmiewchów i zabaw. I wszystko jej to przyszło szczęście, to królowanie wyrzłość. Ona już wtedy królowała wśród dziewczyn. To jej, jak lałyśmy olów na święty Andrzeja u Przepiórów pod lasem, ułała się królewska korona, to za nią, jak wracaliśmy z wyskubków albo z andrzejków, ciągnęli gramadami kmiecy synowie, a ona szła drobnym kroczkiem, z podniesioną głową, natrząsając się po cichu z ich dogadywań. Kiedyś, gdy dochodziłyśmy już do wąskiej ścieżki między dwoma okami żabich dołków, porosłych sitowiem, i już już miałyśmy ich na karkach, zaczęła biec, ponaglać mnie, przedzie, przedzie guzdrało, bo nas dopadła. Przez łąkę i blonie już pedziła, nie oglądając się na mnie. Nie mogłam za nią nadążyć. Przybiegłam do domu w jakimś czasie po niej, znalazłam ją zaszytą w komorze. Wydychała z siebie zmęczenie i drwiący śmiech, głupie grądale, oni myśla, że ja dla nich, a ja nie dla nich, nie dla nich — prawie śpiewała — ja tu na wsi nie zostanę, ja jestem dla innego życia —

Dla kogo jest Małgorzata? — nieraz myślałam, patrząc na jej cienie, zefirowe bluzki, zawsze je potrafiła od matki wycygnąć, na jej poczwórne sznury korali, podbijające różowym blaskiem jej smagłą twarz. Kiedy wracała jeździć do Krakowa do gimnazjum — ojciec wtedy sprzedał szóstą morgę z posiadanych ongi dziesięciu, on nie żałował na szkoły ani dla najstarszego Kazimierza, ani na wiano klasztorne dla Maryni, ani na seminarium dla Justyny — myślałam, że Małgorzata upatrzy tam sobie kogoś stosownego, kto ją wwiezie w to inne życie, inny świat. Królewica jakiegoś.

Wiktorcia zamysła się, potem mówi raczej do siebie: — Dla kogo była Małgorzata? Czego ona właściwie szukała? Jakiego Królewica? Jakiej wartości? Czym miał być dla niej ten „inny świat”? Czego szukała, a co znalazła?

Patrzy przez okno, za którym w marcowych mgłach południa leży tyńskie wzniesienie ze skulonym na wieżę domem z czarnych bal.

— Czekaj, Mario, nie przerywaj mi. Ja wiem, nie od dziś — Małgorzata była urodzona dla korony, tylko nie tej, którą się jej w dzieciństwie widywała. Ona wtedy nie odczytała tego znaku, przeczuwała tylko niejasno i naiwnie, obie naiwnie wtedy tłumaczyłyśmy go sobie.

— Dla jakiej korony — pyta cicho Maria.

— Zaczekaj. To wówczas, kiedyśmy po tej ucieczce przed chłopakami po andrzejkach wpadły do domu i siedziały skryte przed rodzicami w komorze, aby nie spostrzegli naszego zżajania, Małgorzata otworzyła nagle zaciśniętą rękę. Trzymała w niej delikatną, ulaną z olowiu koronę. Korona była zgnieciona i zakrwawiona, bo gdy biegłyśmy obok ciemnego żywopłotu, Małgorzacie spadła z ramion chusteczka i ona, nie mogąc jej odebrać od kołców, szybko ułamała gałązkę cierniową, tę z zaczepionym o nią frezdem. W komorze było ciemno, tylko przez szparę drzwi wpadała z izby jaśniejsza smuga światła lampy naftowej i właśnie w jej żółtawej strudze zobaczyłam na dłoni Małgorzaty tę koronę z wgniecioną w nią gałązką, z wbitym w środek dłoni kołcem podobnym do

gwoździa. Krople krwi ściekały po jej palcach na ziemię. Maria wzdryga się z przerażenia i niechęci: już wie, do czego Wiktorcia zmierza.

Wstaje z krzesła i mówi:

— Po co do tego wracasz, Wiktorio, z pamięcią tego nie można żyć, to trzeba zapomnieć. Ja dlatego nie chciałam z tobą ani z nikim rozmawiać o matce.

Jest niemal pewna, co teraz powie Wiktorcia, poznaje to po jej oczach.

— Dlaczego to trzeba zapomnieć? Czy ty nie chcesz pamiętać, czy nie wiesz — nigdy nie chciałaś mówić ze mną o śmierci matki — że ona zginęła po bohatersku, świadomie godząc się na tę swoją koronę, aby ocalić ciebie?

Maria podnosi oczy. Patrzy na Wiktorię długą chwilę, wreszcie poruszając z zadziwienia głową, pyta:

— Ocalić? Mnie? Wiktorio!

Wiktorcia niemal wybucha:

— Więc ty dwadzieścia lat zwlekasz aby dowiedzieć się prawdy? Piotr, twój ojciec ci nie mówił jak to było? Słuchaj więc i nie przerywaj mi, musisz wysłuchać, tobie nie wolno tego nie wiedzieć. To przecież Małgorzata, kiedy ci, w czarnych mundurach, zajęchali przed wasz dom z „buda” i z psami — to było ich drugie najście — kiedy wpadli do mieszkania i zaczęli ryczeć: „Wo ist diese Banditin, eure Tochter, Marie? Adresse!” i zaczęli okładać ich oboje bykowcami, a Piotr upadł na kolana i zaczął błagać, na rany Chrystusa nie bijcie, ja nie wiem, powiedz mi, ale nie wiem, to ona, Małgorzata, rzuciła się przed ojca, zasłoniła go rozłożonymi rękami i krzyknęła, jego nie bijcie, ten chórz naprawdę nie wie, on nie chciał nie wiedzieć, nie pozwolił mi nawet pisać do córki, to ja sama wszystko —

Przez głowę Marii przebiega podchwytliwe pytanie, skąd ona o tym wie? Nie było jej przy tym! Wyobraźnia? Ona rzeczywiście powinna — pisać!

— Przestali bić — mówi dalej Wiktorcia. — Słuchać było tylko ich sapiące oddechy, warczenie psów wietrzących krew; ten najstarszy z gestapowców, tęgi byk ze spasioną gębą stanął przed nią na rozkraczonych nogach, wywijając nad jej głową bykowcem i dał się, dalem rozkaz, żebyś przyszła, zameldowała się? Żebyś przyniosła adres córki? Czemuś nie przyszła? Gadaż zaraz! Adres! No! Już! Schnell, schneller!

Małgorzata podniosła głowę, trzymała ciągle te rozkrzyżowane ramiona, osłaniając ojca. Z twarzy jej wyciekła chyba wszystka krew, bo kredowa była jak ściana bielona wapnem. Powiedziała cicho, możecie mnie zabić, a nie powiem, nie zdradzę swojego dziecka.

Gestapowiec obejrzał się tylko, jeden z jego ludzi przytrzymał psy, wielkie czarne wilczury, dwaj inni wyciągnęli Piotra zza pleców Małgorzaty, odwiekli go pod ścianę, naprzeciw. tak żeby dobrze widział jak ją będą katować i — raz po raz z jednej i drugiej strony zaczęły na nią spadać smagnięcia bykowcami: przez głowę, przez piersi, brzuch, nogi. Bili, jakby cepami młócili po klepsku i powtarzali, powiesz, powiesz, powiesz. Twarz tego starszego nabrzmiała z wściekłości i nagle ręka z bykowcem zawisła w powietrzu. Stój — krzyknął do drugiego, który ja jeszcze okładał. Zaczął przyglądać się Małgorzacie, jej czarnym, roztrąganym włosom, jej oczom, po czym schwylił ten kosmyk, który zawsze opadał jej na czoło, szarpnął nim, aż krew pokazała się w korzonkach włosów i wrzasnął, O, Schweinerei! Du bist Jude! Jude! Jeszcze i to!

Piotr wtedy krzyknął, keine Jude, keine Jude! Ona jest chrześcijanką, od urodzenia, ona jest z chłopskiej, katolickiej rodziny!

Gestapowiec obejrzał się, rąbnął ojca na odlew, ruhel! wy nieczyste polsko-żydowskie świnie! I szarpnął po raz drugi ten kosmyk. Teraz tak mocno, że pozostał mu w palcach. I wtedy — ona, opuchnięta, z krwią na twarzy rozciętej bykowcem, zaczęła wołać. Najpierw był to okrzyk bólu, ale potem chyba jakiegoś uniesienia, jakby — ojciec też nie wiedział, dlaczego ona to —

Myślałam nieraz później, co to mogło być? Ona się chyba uczepiła tego swojego rzekomego żywota, żeby przedzie zginąć, nie cierpieć dłużej, uciec w ten sposób spodziewanym torturom, w których mogłaby się wydać. Trzymała rozkrzyżowane ręce i wołała z rozpaczliwą radością, jakby coś odkryła nareszcie, albo zrozumiała, Jude, Jude! Ich bin Jude! Jam jest Jezus Nazareński! Król Żydowski. Ukrzyżujcie mnie, przebijcie moje ręce i nogi, włóżcie mi na głowę cierniową koronę, a nie powiem, nie powiem. Umęczcie mnie, jam jest odkupiciel, umrę za grzechy świata, za wasze grzechy, mordercy i siepacze, trzeciego dnia zmartwychwstanę, siadę na prawicy Boga Ojca Wszechmogącego —

Gestapowiec bił dalej, w takt jej słów, aż upadła, straciła głos i tylko jeszcze szepem na jego pytania, powiesz? powiesz?, odpowiadała, nie powiem, nie powiem, nie, nie —

Piotr szlochał, zwiślał tamtych z rąk, słał się do ich nóg, skamlał, zostawcie ją, nie widzicie, że oszalała? Ona jest obłąkana. Ja się dowiem od niej, gdzie jest Maria, ja —

Małgorzata leżała już bez słowa, ucichła; z głową na czerwonej, rosnącej coraz bardziej plamie, psy rwały się, by chleptać świeżą krew, podczołgiwały się, trzymane mocno na smyczach, maczały jęzory w strużce krwi podpluwającej pod ich pyski. Nie puszczone ich chyba tylko dlatego, by nie rozszarpały Małgorzaty, widocznie liczone, że jeszcze powie twój adres. Wyszli z domu przykaszując Piotrowi, wyduś ten adres z niej, żywej albo zdechłej, ganz allein, bo jak nie, to wszyscy pójdziecie do Auschwitz. Ten, co go już mamy, ten co jest na robotach i wy dwoje. A tę bandytę Marię też znajdziemy, dom spalimy, śladu z was nie zostanie.

Wiktorcia urywa, widocznie już zmęczona, podnosi powieki i napotyka podejrziwe spojrzenie Marii.

— Co tak patrzysz na mnie, jakbym — ? Odgaduję, co myślisz: skąd ja o tym wszystkim wiem? Nie, nie zmieniłam się wtedy w złotą muszkę fruwającą po naszym mieszkaniu, aby w przyszłości „dać świadectwo prawdzie”. Piotr twój ojciec mi to opowiadał, powtarzał jak skołowaciły po parę razy każde jej słowo, ich wrzaski, swoje odezwania. Zaraz jak tylko gestapowcy odjechali, przysłał po mnie chłopaka z warsztatu. Trzeba było Małgorzacie pomóc. Piotr nie wiedział jak się do tego zabrać, ręce mu się trzęsły, cały był rozdygotany.

Zastalam ją leżącą na podłodze, w podartej odzieży, z wybroczynami na całym ciele, z włosami zlepionymi krwią. Ojciec obmył jej twarz, włosy tylko odgarnął z czoła, włosy zakrepiły nad nim razem z krwią i uformowały się w twardą zbitą koronę.

*) Fragment powieści

W gąszczu pokoleń

A więc, po raz szósty. Poloniści zechcą mi wybaczyć to złamanie stylistycznych rygorów już w pierwszym zdaniu, ale dla oddania atmosfery VI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi powinienem pisać strzępami okresów. Powiedzieć, że była gorąca, to o wiele za mało.

Powściągam jednak na chwilę pióro dla kilku retrospektywnych porównań. Otóż wbrew przewidywaniom i najczarniejszym prognozą Łódzkie festiwale okazały się zjawiskiem trwałym niż Poznańskie Listopady Poetyckie, które pod koniec lat pięćdziesiątych zawdzięczałyśmy inicjatywie sympatycznej grupy „Wierzbak”. Tamte spotkania nad Wartą powołane samorzutnie do istnienia przez formację poetów zaliczanych dziś do pokolenia „Współczesności” uległy samolikwidacji, gdy generacja ta zdobyła uznanie instytucjonalne, a klimat polityczny przestał sprzyjać szczerości wypowiedzi.

Zjazd Łódzkie takiego pokoleniowego charakteru nie miały, co oczywiście nie oznacza, że były bezpieczne. Ale w swoim założeniu bekonfliktowe, w realizacji pompacyjne i oziębiające, w nieznanym stopniu przyczyniały się do ruchu myśli poetyckiej. Bo też i rzadko dochodziło na nich do ostrzejszej wymiany poglądów, bez której trudno wyobrazić sobie jakikolwiek spór o ideał artystyczny. To były raczej zabiegi o uznanie, a niepokój czasu przyluszał blaszany pogłos fanfar. Niekiedy dziwne, że, na początku przynajmniej, słowa najpierwsze często zastępowały referatowy slogan, albo jakiś cytat z historycznego już wiersza, albo, żeby załagodzić, jakiś kalambur ku rozbawieniu uczestników obrad chyłkiem wymykających się z dostojnej nastrojowej sali na piwo lub na beztróską przechadzkę po mieście. Instytucjonalizm lat sześćdziesiątych wypaczał także sens dyskusji zamieniającej się w sentymentalny monolog rozpisany na głosy. A pośród tego wszystkiego rozlewała się mag-

ma wierszy, higienicznych i sterylnych, radośnie rozestawianych i wzruszająco obojętnych.

Ale tak nie było przecież zawsze. Już festiwal ubiegłoroczny, choć jubileuszowy, bo piąty z kolei, żarem spórów nawiązywał do swego jesiennego poznańskiego krewniaka i pewnie dlatego, pisać przed rokiem sprawozdanie, nadałem mu tytuł „Rzecz niepospolita”. Była to zapowiedź nowego strumienia dyskusji między poetami, którzy, zrazu przecież nieśmiało, przestali wreszcie „wodą przemówień obracać koła” (młynskie). Nieprzypadkowo wreszta cytuję linijkę z wiersza Majakowskiego „Poeta robotnik”, gdyż bibliofilskie wydanie tego poematu, z akwafortami Jerzego Staneckiego, otrzymali w prezencie od Wydawnictwa Łódzkiego i Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki, wszyscy uczestnicy tegorocznego festiwalu.

Na początek więc może nieco o uczestnikach Łódzkiego zjazdu, tym bardziej, że mieliśmy do czynienia z wyjątkowo liczną reprezentacją poetów i krytyków literackich ze wszystkich ośrodków kraju. Specjalny druk festiwalowy wymienił nazwiska 119 twórców, w rzeczywistości jednak było ich znacznie więcej, przy czym o zaproszeniu na festiwal decydowały kryteria nie tylko „geograficzne”, ale także „pokoleniowe”. I jak się wydaje, to ostatecznie przesądziło o atmosferze tego zjazdu, mimo nieobecności Artura Sandaury, którego wystąpienia wnosili zawsze ożywienie do dyskusji.

Prawdę powiedziawszy, po zapoznaniu się z tematami referatów, obawiałem się nieco, że ciężar dyskusji spocnie na zagadnieniach historyczno-literackich, co zapowiada zawsze spór nieoakademicki. Ale nie doceniłem temperamentu referentów. Nawet „Słowo o Norwidzie” Mariana Piechała, wywołane i stosunkowo najmniej kontrowersyjne, niosło w sobie zapowiedź ożywionej wymiany poglądów, gdyż referat koncen-

trujący swoją uwagę na „fenomenie czasu” u Norwida podjął sprawę „współczesności” dzieł autora „Promethidionu”. Był to więc kontrapunkt, przynajmniej w swojej warstwie filozoficznej, do wystąpienia Michała Sprusińskiego, który w kolejnym referacie podjął temat: „Poeta w świecie współczesnym”. Przedstawiciel „Pokolenia 1960” wypowiedział z trybuny festiwalowej najważniejsze niepokojące tego pokolenia nie oszczędzając ani rówieśników, ani poetów innych generacji, ani nawet instytucji tak nietykalnej jak miesięcznik „Poezja”. Z głosem tym współbrzmiał referat Krzysztofa Gąsiorowskiego zatytułowany „Poezja jako wielość jedności”. Sprusiński wypowiedział niepokojące czasy w ujęciu socjologicznym, u Gąsiorowskiego wysunęły się na plan pierwszy determinanty filozoficzne tego samego zagadnienia, co pozwoliło mi stwierdzić, że literatura jest „nie tylko deficytem społeczeństwa, ale i jego funkcją, na dziedzińcu walki o własną tożsamość”.

Początek dyskusji, która z sali sesyjnej Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi przeniosła się do Klubu „Pod siódmkami”, nie znamionował tego rozbudzenia napiętności, które towarzyszyło później aż do końca debatom poetów. To były popisy oratorskie (Łaszowski), albo przypominanie własnych doświadczeń twórczych (Swirszczynska, J. B. Ożóg). Dopiero wystąpienie, przewodniczącego w pierwszym dniu obrad, Jana Błońskiego, który nawiązał do referatów, ujawniło prawdziwe nastroje sali. I natychmiast wydułowała się kolejka zapisanych do głosu: Sprusiński, Łoboda, Maciejewski, Piechal, Witan, Frejdl, Scierali się nie tylko poglądy, ścierały się także temperamente. Był to pierwszy w dziejach Łódzkiego festiwalu wypadek, że o dyskusji mówiło się na mieście. Kolejny dzień obrad, którym przewodniczył Piechal, nie wygaszył tego żaru. Spór, który początkowo ogniskował się wokół polityki redakcyjnej miesięcznika „Poezja”, rozszerzył się na całą współczesną poezję polską. I może jeszcze silniej doszły do głosu akcenty pokoleniowe. Były one w wystąpieniu Pogonowskiej, Al. Rymkiewicza, Ostromeckiego, choć maskowane terminologią filozoficzną. R. Kozłowski i J. Markiewicz wyrazili je wprost w dramatycznych wystąpieniach.

I, rzecz charakterystyczna, jakby ilustracją tych sporów o ideał artystyczny, była konfrontacja poetek na kon-

cercie poetycko-muzycznym pt. „Głosy” w Teatrze Im. Jaracza. Podobnie jak do ubiegłorocznych wyznań scenariusz koncertu napisali Roman Łoboda i Marek Wawrzkiwicz, muzykę zaś Andrzej Hundziak. Całość zaś zrealizował wypróbowany reżyser Zdzisław Józwiak.

Napisałem: konfrontacja poetek, ale przecież dzięki właściwej selekcji tekstów, koncert „Głosy” był jednocześnie walką o treść i o wypowiedź na te postulaty, które pod adresem współczesnej poezji zgłaszały na festiwalowej sali obrad kolejni mówcy, bowiem „Głosy” uwzględniły szeroką reprezentację tekstów i z punktu widzenia geografii poetyckiej, i z punktu widzenia kryteriów pokoleniowych (Szymborska, Piechal, Nowak, Czernik, Wawrzkiwicz, Śliwiak, Ostromecki, Herbert, Chrościelewski, Sikiryci, A. Kasprów, Koprowski, Frejdl, Sprusiński, Iwaszkiewicz, Grochowiak, Al. Rymkiewicz, Przybóś, Czarny, Gąsiorowski, Łoboda, Jastrun). A zrazem „Głosy”, podobnie jak liczne spotkania autorskie w 22 placówkach kulturalnych miasta, służyły sprawie, przy dzisiejszej sytuacji wydawniczej może najważniejszej: popularyzacji poezji w najszerszych kręgach odbiorców.

Sprawa nośności poezji, uczynienia zeń najczulszego sejsmografu wychytującego wszystkie psychologiczne, społeczne i polityczne niepokojące epoki, była zresztą lektym motywem VI festiwalu. Potwierdził to trzeci dzień dyskusji głosami Łobody, Markiewicza i Sprusińskiego, a przecież nawet te wystąpienia, w których odwoływano się do całego bogactwa tradycji, albo dla odmiany do osobistych doświadczeń zawierały w podtekście troskę o sytuację poezji, o jej szanse w świecie współczesnym, w którym pod naporem cywilizacji jest coraz mniej miejsca na porozumienie się jednego człowieka z innym człowiekiem. W czasie tej dyskusji ani razu nie padło słowo: zaangażowanie, którym tak szermowano przed laty na każdym zebraniu, w każdym artykule prasowym, w każdej recenzji, a przecież mając w pamięci pięć Jesieni Poznańskich i sześć Festiwali Łódzkich jeszcze nigdy nie słyszałem głosów tak żarliwych, wypowiedzi tak nonkonformistycznych i autentycznych, tak właśnie zaangażowanych, jak na tegorocznym spotkaniu poetów w Łodzi. Przyniosło ono bowiem nie tylko obraz poszukiwań formalnych i tematycznych poezji najnowszej (konkurs na wiersz o tematyce dowolnej oraz na

wiersz o tematyce łódzkiej, turniej jednego wiersza), ale jak mi się wydaje, odsłoniło autentyczne związki pokoleniowe twórców poszukiwanych dotąd przez krytykę według mało sprawdalnych i dalece niewystarczających kryteriów systematycznych czysto normatywnych, wobec których nadrzędna powinna być już raczej samoświadomość twórców określających swoje miejsce w teraźniejszości. Ten obraz sytuacji poezji jakby ukształtował się na VI Festiwalu dał chyba wiele do myślenia zarówno poetom jak i krytykom zmuszonym teraz do przedzierania się przez całą gestwinę splecia pokoleniowych. I w tym upatrywałbym największy sukces Festiwalu. Był potrzebny.

PS. Uzupełniając werdykt jury, ogłoszony w numerze poprzednim „Odgłosów”, informuję, że laureatami nagrody za tom poetycki wydany w okresie pomiędzy festiwalami dla poetów debiutującego po wojnie, zostali: Stanisław Barańczak z Poznania, autor „Jednym tchem” (Orientacje) oraz Ewa Lipska z Krakowa, autorka „Drugiego tomu wierszy” (Czytelnik). To samo jury w składzie: Zb. Bieńkowski, J. Błoński, W. Boeckowski, T. Chrościelewski, M. Jastrun (przewodniczący), R. Łoboda, R. Matuszewski, B. Ostromecki, M. Piechal, S. Skwarczyńska przyznało Jerzemu Lisowskiemu z Warszawy nagrodę za pracę eseistyczno-redakcyjną i przekładową nad II tomem „Antologii poezji francuskiej” (Czytelnik). Tego rodzaju nagrodę przyznaje się corocznie za najlepszy tom esejów o poezji wydany w okresie między festiwalami.

Rozstrzygnięty został także Turniej Jednego Wiersza, do którego dopuszczono 19 wierszy 31 autorów. Jury w składzie: Aleksander Rymkiewicz (przewodniczący), Urszula Kozioł, Krzysztof Nowicki, Stanisław Kaszyński i Tadeusz Śliwiak przyznało nagrodę I: Ryszardowi Krynickiemu (Bytom) za wiersz „Powódź”, nagrodę II: Jerzemu Górszkiemu (Warszawa) za wiersz „Na śmierć rodziny Lipów”, oraz dwie równorzędne nagrody III, które otrzymali: Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski (Warszawa) za wiersz „Azy!” i Ziemowit Skibiński (Łódź) za wiersz „Puszkini”.

W 21 n-rze „Odgłosów” z dnia 23. V. 71 r. z winy korekty pominięte zostało nazwisko autora jednego z wierszy. Autorem wiersza pt. „Giordano Bruno” jest Konrad Frejdl.

Niżej drukujemy raz jeszcze ten wiersz i przepraszamy Czytelników oraz Autora za to niedopatrzenie.

KONRAD FREJDLIH

Giordano Bruno

bo wtedy jest poznanie gdy do szpiku ognia
aż się skała obiera
i rozpada w popiół
lochami inkwizycji iść
przez wieczne miasto
przyswlecając sobie podpalonym stosem

to jest vicissi tudo
kołowrót ochryply
skurczami słońca mierzyć puls gasnących światów
a ptaki grób wykopia
głęboki na oddech
na jedno ptasie technienie

z powietrza i sadzy

to jest poznanie stopień czwarty i ostatni
ognia dotyk nieczuły wyuczoną ręką
a to przecież nie boli

bo gdy ktoś z płomienia
to głównią rozżarzoną skronie sobie chłodzi

Przeszłość i teraźniejszość

Pozycja wyjściowa autora jest typowo humanistyczna, chociaż nie pozbawiona uzasadnienia: warunkiem skutecznego przyspieszenia naszego zdążania w przyszłość jest nie tylko stworzenie odpowiedniej bazy technicznej, lecz także w co najmniej równej mierze przezwyciężenie oddziałujących opóźniająco elementów psychiki naszego społeczeństwa. Jakże są to cechy psychiczne, skąd się wzięły, jak się rozwijały i jak funkcjonują dzisiaj — oto przedmiot rozważań Bocheńskiego. Przyznajmy, że tak jak większość rozważań z zakresu charakterologii narodowej, są one równie wszechstronne co kwestionowne, niekiedy wprost niesprawdzone, zaś publicystyczny rozmach autora sprawił, że zawarł on w swej książce więcej spraw, niż liczy ona paragrafów. Tych zaś jest 125. Stan ten sprawia że dysku-

tować z nią jest niemal nie sposób i aby to uczynić jako tako porządknie a wyczerpująco, trzeba by napisać znacznie większą książkę, niż ta, którą skreślił Bocheński.

W poszukiwaniu genealogii tych cech psychicznych narodu polskiego, które jego zdaniem stanowią dziś najpoważniejszą zaporę dla rozwoju kraju udał się autor do przeszłości, a temperament pisarski nie pozwolił mu pominać okazji po temu, by nie zaprezentować czytelnikom własnej historiozofii dzieł narodowych. Mówię historiozofii, bowiem to, co przedstawił Bocheński nie jest przecież nowożytną historią naszego narodu, ale właściwie filozofia jego dziejów. Szukając korzeni wstępu do pracy produkcyjnej naszej inteligencji odnajduje je w ciągu rozwojowym, wiodącym od anarchizmu i sybarytyzmu polskiej szlachty, przez niepodległościowe, ale nierozsądne walki legionów, które zapoczątkowały w

umysłach Polaków przekonanie, że ty... o walka zbrojna może dać wolność, a sofusze zgubę, antyracjonalną ideologię „Ody do młodości” („wplynęła... bardzo na wytworzenie pądokracji, pole-

Jak widać, elementów tego łańcucha jest wiele, każdy z nich jest zaś dyskusyjny, tak, że godząc się chętnie na jeden czy drugi, z wieloma chciałoby się polemizować. Ale o to właśnie

Sienkiewicza: „apoteoza piosenki i poety, przyznanie im najwyższego stanowiska narodowego przyniesie”, musiała apoteozą anarchii, skoro w tym właśnie zawodzi, i tylko w nim, zupełna wolność twórcza jest warunkiem koniecznym owocnej pracy”. Nie cierpi też Bocheński kwiatyzmu, bęwałstwa i anarchii seksualnej. Konsekwentnie — myślałby ktoś — winien by autor udzielić poparcia swoim (i nie tylko swoim) ideowym przeciwnikom spod sztandaru bojowania z „bohaterstwu” w imię wygodnej idei siedzenia cicho, ale uwalę tego nie czyni. Przeciwnie, występując przeciw koncepcjom walki bezustannej z trzema zaborcami naraz, upomina się o pamięć poległych za największą sprawę, o księcia Józefa i żołnierzy podziemnego frontu w nocy okupacji. „Na równi z Somoierką próbowano wyszydzić i zlekceważyć i te najwyższe wartości patriotyczne i ogólnoludzkie. W jednym i drugim wypadku zapomniano, że należy jasno rozróżniać obowiązek polityka, wodza i prostego oficera oraz żołnierza”. Preferuje Bocheński

pracę organiczną ponad sięganie po niedościgłe ideały, rozsądne sojusze nad bezustanną walkę. Ale czy jest aby tak pewne, że nierozsądek zawsze jest bezrozsądek? Podejmując znów centralny problem naszej myśli politycznej ostatnich dwustu lat, autor stara się go rozwiązać w ramach, które zakreślił jego ideowi antenaci. Jest zbyt rozsądny, aby nie widzieć, że jeśli istniejemy, zawdzięczamy to także po części naszemu bezrozsądnemu braniu siły na zamiary. I dlatego — dodajmy — możemy się upominać o rozsądek.

Nie przekonałem się do historiozofii Bocheńskiego, ale znalazłem w jego książce wiele myśli inspirujących. Nie znaczy to, bym odrzucał bez dyskusji zasadniczą ideę książki. Więcej, sądzę, że i w rozważaniach natury politycznej znaleźć można u Bocheńskiego wiele celnych obserwacji. Jest to bowiem książka piekielnie kontrolowana i diablo inteligentna. Oczywiście ta niewielka książeczka: „Rzecz o psychice narodu polskiego” (PIW, 1971).

JÓZEF GRZELAK

HISTORIOZOFIA A. BOCHEŃSKIEGO

gające, że sam fakt, iż przyjmowano, że tam, gdzie jest młodość, popiera jakąś tezę, dodaje jej wartości, tak jakby młodość była dowodem posiadania rozumu i doświadczenia, a nie dowodem ich braku”, do rozwiczeń Młodej Polski, i wreszcie skamandrytyzmu oraz najnowsze, zaledwie sprzed lat kilku, uderzenia literatury, filmu, teatru, a zwłaszcza krytyki przeciw zaangażowaniu ideowemu”.

Bocheńskiemu chodzi. Ma on bowiem swoje wyraźne, zdecydowane sympatie i antypatie. Lubi Oświecenie, a zwłaszcza pozytywizm, króla Stasia, Staszica, Łubieckiego, Andrzeja Zamoyskiego, Wielopolskiego, Kronenberga, Szczepanowskiego, Dmowskiego, tego ostatniego wyraźnie choć nie bezkrytycznie. Nie lubi romantyków i romantyzmu, powstań narodowych (za Szujkim piętnuje „liberum conspiro”),

Świat Melchiora Wańkowicza



Od Stołpców po Kair

Fot. A. Wach

Podobno przedmów, którymi autorzy opatrzą swe książki, nikt nie czyta. Być może. Ale trudno nie przeczytać przedmowy Melchiora Wańkowicza do tomu jego reportaży „Od Stołpców po Kair” (*), który prezentuje wybór prac z lat blisko czterdziestu. Jest to przedmowa ciekawa, co wcale nie oznacza, że należy zgodzić się ze wszystkimi tezami jej autora. Wańkowicz rozważa teorię reportażu, a wiemy już od Goethego (który wymyślił wszystkie cytaty): „Gruu, teurer Freund, ist alle Theorie, und gruen des Lebens goldner Baum” (Szara, drogi przyjacielu, jest każda teoria, wieczne zielone drzewo życia złote).

Więc porzuciwszy jego przedmowę (powtorzymy: ciekawa, choć niekoniecznie do zaakceptowania w całości), zabierzmy się do czytania reportaży z tyłu środowisk, krajów i epok. Autor podzielił swoją pękającą książkę (680 stron druku) na siedem części: pomieścił w nich kolejno reportaże przedwojenne (m. in. o życiu na kresach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej), reportaże o wrześniu 1939 roku, okupacji (które pisał poza Polską), reportaże z pobytu na Bliskim Wschodzie. Osobną część to materiały dotyczące udziału Polaków na różnych frontach drugiej wojny światowej, potem emigracja i wreszcie cykl zamknięty pt. „Znowu w kraju”. Wańkowicz nie oszczędził nam również posłowia, ale wydaje się, że było ono konieczne, ponieważ wyjaśnia dzieje pierwszego wydania i perypetie tej książki.

Wszystko, co wychodzi spod pióra Wańkowicza, czyta się z prawdziwym zainteresowaniem. Ma on potężną gminę zwolenni-

ków i entuzjastów, bo zajmuje się tym, co ludzi rzeczywiście oświeca i umie wyłożyć to tak, że nie nudzi, a przeciwnie: wciąga, wzrusza, wzbogaca, niekiedy (jakże by inaczej) i zdenerwuje. Dobry reporter nie może być fakirem, usypiać wężów. Dobry reporter budzi ze snu, niepokoi, ściga z obłoków marzeń na ziemię twardej rzeczywistości. Idzie on ramie w ramie ze swoim społeczeństwem, towarzyszy mu w doł i niedoli, czasami wyskoczy do przodu, czasami cofnie się, aby ogarnąć idących przed nim.

W księdze „Od Stołpców po Kair” Wańkowicz jest wszędzie tam (oczywiście, nie zawsze w sensie dosłownym), gdzie toczą się ważne ludzkie sprawy. Mimo, że czasy okupacyjne przeżył z dala od kraju, nie mógł nie napisać o tym, co się w kraju działo. Jego reportaż o Aninie, spisany na podstawie rozmowy z człowiekiem, który ocalał, dowodził, że można napisać również o tym, czego się samemu nie widziało, i to napisać dobrze. Reportaż aniński jest wysokiej marki: uwiarytelnia go szczegóły, dramatyzm opisu, prawda ludzkiego losu.

Świetne są reportaże rumuńskie o przebywających w Bukareszcie po klęsce wrześniowej Polakach. Nawet z tak truonych i pełnych napięcia sytuacji autor potrafi wydobyć rzecz bezcenną — humor. Bohater tych reportaży, redaktor Hauke, oburza ludzi oświadczeniami, że wojna potrwa sześć lat, idąc niejako pod prąd różnym hurra-optimistom i politykom od siedmiu boleści. Jest to postać barwna, soczysta, jakich wiele w reportażach Wańkowicza. Wartaloby przy sposobności po-

dyskutować, czy rzeczy pisane przez Wańkowicza, to reportaże, czy nie są to po prostu dobre literackie opowiadania, które zaliczyć by raczej do prozy artystycznej. Ale dyskusję taką odłożymy sobie na kiedy indziej.

Najkrótsze i najzwięźlejsze są reportaże krajowe z ostatniej części tomu. Ale przecież i w nich nie tracą się właściwości talentu i stylu pisarza: narracja z dygresjami, z anegdotą, z rozwiniętą przypowieścią. Reportaż taki wymaga czasu, aby go napisać, ale za to jak się go później smakuje, z jaką przyjemnością czyta! Autor potrafi również zaskoczyć lapidarnym i mądrym uogólnieniem. Opisu powrót z Ameryki do Europy i podziwianie możliwości szybkiego przenoszenia się z kontynentu na kontynent zauważył nie bez przymieszk goryczy: „Świat się żrasta, a pęknięcie w nim się poszerza”.

„Od Stołpców po Kair” to kawał polskiej historii, kawał polskiego losu. I nieważne są dywagacje wstępne pisarza, czym jest i powinien być reportaż, czy przynależy on do literatury, czy nie. Jeśli dobry — przynależy, jeśli kiepski — nie przynależy nigdzie i do niczego. Melchior Wańkowicz dowiódł od dawna, że to, co pisze, niezależnie od rodzaju i gatunku, jest pisarstwem z prawdziwego zdarzenia.

*) Melchior Wańkowicz: „OD STOŁPCÓW PO KAIR”, Wybór, układ i przypisy Stefana Kozickiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, cena zł 50.

Intruz — czy nie intruz?

„INTRUZ” jest trzecią z kolei książką w dorobku Edwarda Kopczyńskiego, pisarza — łodzianina, z zawodu lekarza — stomatologa. Pierwsza jego powieść „Trudne edukacje” (1966) miała charakter autobiograficzny, a umieszczona w ramach lat trzydziestych docierała swą akcją do wrześniowych dni 1939 r. Następna książka Kopczyńskiego — „Intruz” — obejmuje już lata powojenne, a retrospekcja, choć się zdarza, nie odgrywa tu roli istotnej.

Ujmując treść „Intruz” w sposób możliwie zwięzły, wypada powiedzieć, że jest to historia młodego lekarza pochodzenia chłopskiego, który ożenił się z córką luminarza medycyny i dzięki protekcji teścia szybko zrobił karierę, zyskał niepośledni dobrobyt i począł prowadzić w stolicy wystawne życie. Ale w tej beczce miodu znalazło się sporo dzięgiu. Profesor, od początku krzywo patrzący na zięcia z „niższych sfer”, udziela mu wprowadzić — ze względu na córkę — swego cennego poparcia, w gruncie rzeczy jednak nie zapomina o pochodzeniu zięcia i często daje mu to do poznania. Gorzkie poczucie, że jest intruzem, powoduje załamanie się doktora Kuleszy. Zaczyna on zaniedbywać obowiązki zawodowe, pije, popada w dług, doprowadza do ruiny pożyte małżeńskie i rozchodzi się z żoną.

Doszukując się w tej książce jakiegoś „moralu” trzeba by, oczywiście, odrzucić przypuszczenie, iż „moral” tym jest powszechnie znana, choć, niestety, wcale nie powszechnie respektowana, prawda o „wysokiej szkodliwości alkoholizmu dla jednostki i społeczności”. Byłoby to banal i truizm. Nie sądzę także, by losy bohatera książki miały być przestrożą dla ludzi z „niższych sfer” przed wzdraniem się do snobistycznych „sfer wyższych”, kultuwających jeszcze przesady socjalne czy kastowe. W naszym ustroju — rzecz jasna — nie ma miejsca na podziały czy uprzedzenia tego rodzaju, a jeśli gdzieś tam one jeszcze pokutują, skazane są bezapelacyjnie na wymarcie. Więc przestrogi dla „intruzów” typu bohatera powieści byłyby niepotrzebne i niewskazane. Pozostaje więc supozycja, że „moral”, o którym tu mowa, tkwi w dobrej radzie brata bohatera — Michała, by wykończony lekarz powrócił do żony i córki, za-

czął od nowa rozsądne i pracowite życie.

Budowa i narracja nowej powieści Edwarda Kopczyńskiego nie są wolne od niedostatków, których nie można pominąć milczeniem. „Przebiegiem” chronologicznym, różnorodnością z czasem przeszłym, powoduje niekiedy narracyjne niejasności. Za mało jest w „Intruzie” konkretnej i konsekwentnej akcji, a jej wiele ponad miarę wydłużonych dialogów oraz monologów wewnętrznych. Postać żony bohatera — Teresy — jest blada i nijaka, a jej niespodziewana korespondencja z wielkim szwagrem — wobec bardzo luźnych dotąd kontaktów między nimi — mało prawdopodobna. A o tym wiejskim szwagrze pani doktorowej można by powiedzieć, że ma zbyt wiele cnót i zalet jak na jednego, choćby nawet wartościowego, człowieka.

Braki i usterki, o których wyżej wspominałem, okupione są w znacznej mierze bardzo dobrą wiedzą o środowisku lekarskim, znanym autorowi na wylot. A właśnie ta znajomość i obiektywna prawda każą mu darzyć to środowisko nie tylko komplementami.

I na koniec jeszcze jedna uwaga: Nie wiem, czy to zbieg okoliczności, czy świadomy zamysł autorski, że cztery spośród występujących w powieści pięciu kobiet, odznaczają się niezwykle agresywnością i poządlwością w stosunku do mężczyzn. Oto dwa przykłady: Młoda i ładna dziewczyna, przyjąwszy po raz pierwszy — w swym pokoju — „z niekrepującym wejściem” — wizytę kolegę, proponuje mu uprzejmie na zakończenie spotkania: „A może zostanie pan na noc?” (str. 15) — na co gość ochoczo się zgadza. Przykład drugi: Pewnego dnia nasz bohater otrzymuje telefonacyjną propozycję „randki” od dziewczyny, którą poznał był przypadkiem wczoraj czy przedwczoraj. Zaskoczony tą propozycją, pyta naiwnie, po co by się mieli spotkać. Odpowiedź brzmiała: „Z kochanym mężczyzną zdrowa kobieta chce się przespać.” (str. 123). Jasno, krótko, węzłowato... Nie trzeba dodawać, że to „kochanie” trwało aż... parę miesięcy. A następcą był jakiś malarz. Z modną brodą.

A mimo wszystko wydaje mi się, że pan zbytnio upraszcza „te rzeczy” panie doktorze.

Wydawnictwo Łódzkie, str. 138, cena zł 10.—

Sportowy „wyścig zbrojeń”

Ukuty przez polityków i wojskowych termin: „wyścig zbrojeń” zyskał również pełną praw obywatelskich w ruchu sportowym. Jego charakter ma jednak odmienne — pokojowe znaczenie. Istnieje w tej chwili na świecie, nawet w krajach słabo rozwiniętych ekonomicznie, rozszerzające się z dnia na dzień współzawodnictwo sportowe między poszczególnymi państwami. Szczególnie na igrzyska olimpijskie „zbroją się” duże i małe narody. Każdy z nich uważa za punkt honoru nie tylko symboliczne uczestnicze-

nie w Olimpiadzie, lecz wywalczenie na niej możliwie jak największej ilości medali, a co najmniej zdobycie punktowanych miejsc (do szóstego włącznie). Wprawdzie na olimpiadach nie prowadzi się oficjalnie punktacji współzawodnictwa, ale — wbrew załąceniom MKOl. — jest ona stosowana.

Współzawodnictwo to rodzi w sporcie nowe wartości — nie tylko sportowe, ale i techniczno-przemysłowe, bez których nie byłoby postępu. Aby szybciej biegać wyprodukowano nawierzchnię tartanową i wszystkie jej odmiany,

aby dalej rzucać — powstały oszczepy „Helda”, aby wyżej skakać o tyczce — wymyślono tyczki z włókna szklanego tzw. fiberglassy itd. itd. Na usługach współczesnego sportu wyczynowego stoją ponadto instytuty naukowe, rozległa wiedza medyczna i nowe gałęzie produkcji przemysłowej. Z tego bogatego dorobku sportowego korzystają również wszyscy kosmonauci. Bo kto chce szybciej ku gwiazdom musi być wyjątkowo sprawny fizycznie.

Rezultaty osiągane przed dziesięcioma laty w biegach, skokach, rzutach czy podnoszeniu ciężarów, które w zdumienie wprawiały świat, dziś już się nie liczą we współzawodnictwie międzynarodowym. Rekordowe wyniki Krzysztkowiaka, Chromika czy Zimnego, które pozwalały im zdobywać tytuły mistrzów Europy i Olimpiady zostały już wymazane z listy 10 najlepszych wyników w historii światowej lekkiej atletyki.

Specjaliści od narciarstwa zjazdowego obliczyli, iż wy-

chowanie medalisty olimpijskiego w tej konkurencji kosztuje milion dolarów. I chyba nie ma w tym przesady. Podobnie kosztowne są również olimpijskie medale w innych dziedzinach sportu. Na wychowanie medalisty składa się bowiem wieloletnia praca szkoleniowa, praca wymagająca nie tylko określonego wysiłku fizycznego sportowca, ale olbrzymich nakładów finansowych. Żeby wychować jednego medalistę trzeba szkolić olbrzymią grupę sportowców, i to od najmłodszych lat. A nowoczesny trening wymaga kosztownych urządzeń łącznie z całym kombinatem gabinetów odnowy.

Dziś nie ma się co czarować, że można osiągnąć światowe wyniki sportowe, stosując metody i natężenie treningowe z czasów Kusocińskiego. Nie ma też co ronić łez nad tym, że sport wyczynowy traci swój idealistyczny, amatorski charakter. Prawdę mówiąc wybitni sportowcy nigdy w zasadzie nie byli czystej krwi amatorami. Zawsze, w takiej czy innej formie, ko-

rzystali z większych lub mniejszych przywilejów, nie mówiąc już o kosztownych podarunkach, jakie im po ciachu wręczano po zawodach.

Obecny, zmodyfikowany już znacznie status sportowca-amatora również nie jest przestrzegany, bo ogranicza on nadal ilość dni przebywania na zgrupowaniach szkoleniowych oraz zwrot utraconych zarobków. Uprawianie sportu wyczynowego na najwyższym poziomie jest dziś jednak bardzo kosztowne. Dlatego funkcję mecenasa sportowego w wielu krajach przejęło państwo, względnie wielkie koncerny przemysłowe, wojsko lub uniwersytety.

Dla przykładu: w Niemczech Republikę Federalną 1200 kandydatów na igrzyska olimpijskie w Monachium znalazło się pod bezpośrednią opieką przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. We Francji w razie potrzeby tworzy się specjalną jednostkę wojskową, złożoną z wybitnych sportowców, która w doskonałych warunkach przygotowuje się do obrony kraju na... bieżniach, rzutniach

i skoczniach. Podobną rolę spełniają uniwersytety w USA. Tam najlepsi sportowcy otrzymują dodatkowe stypendia, organizuje się nawet dla nich wykłady z danej specjalności sportowej, aby mogli uzyskać potrzebne im punkty do zaliczenia roku akademickiego.

Dokąd to wszystko prowadzi? Do wynaturzenia sportu? Chyba nie. Sportowy „cyrk” — jak mówią złośliwi — ma swoje cenne zalety: daje ludziom rozrywkę, a ponadto zachęca młodzież do uprawiania kultury fizycznej. Jest to wabik bardzo potrzebny, aby coraz bardziej zmotoryzowane społeczeństwa nie zgnuśniały fizycznie. Inna sprawa, że sport masowy, dostępny dla wszystkich, nie jest jeszcze wszędzie należycie rozwinięty. Dotyczy to również naszego kraju, chociaż i pod tym względem poszczycić się możemy dość poważnym postępem.

Sportowy „wyścig zbrojeń” trwa i trwać będzie dalej. Oby przyszłe pokolenia знаły tylko ten system zbrojeń, a ten najpiękniejszy ze światów będzie jeszcze piękniejszy.

Jerzy Passendorfer o sobie i o kinematografii

— Uchodzi Pan za reżysera najbardziej wiernego polskiej batalistycy. Czy potwierdza się to również obecnie?

— Właśnie dosłownie przed paroma godzinami (rozmowa miała miejsce 10 maja br.) po trzech dniach i nocach nieprzerwanej pracy zakończyłem montaż nowego, godzinnego filmu pt. „Melchiora Wańkowicza opowieści o bitwie pod Monte Cassino”. Są to fragmenty wspomnień i refleksji ówczesnego korespondenta wojennego, który śledził zmagania II Korpusu. Gawęda jest bogato ilustrowana dokumentalnymi fotografiami. Wejście na ekran przewidziane jest 18 maja, w rocznicę zatknięcia polskiego sztandaru na gruzach klasztoru. Film realizowałem wspólnie z operatorem Mieczysławem Vogtem, w atelier Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi na zlecenie telewizji.

— W tych dniach wchodzi również na ekrany drugi pański film „Akcja „Brutus”. Może pan ujawnić parę szczegółów?

— Wolalbym raczej nie zdradzać treści, a szczególnie zakończenia, ponieważ film ma charakter sensacyjny, dotyczy pierwszych trudnych lat po wojnie. Jest to próba obiektywnej analizy postępowania obu stron, próba zrozumienia postaw ludzi, zaplątanych tragicznie w pewne sprawy. Scenariusz oparty został na motywach powieści Zbigniewa Nienackiego pt. „Worek Judaszów”, a cała wymowa filmu sprowadza się do tego, żeby nie wrzucać wszystkich i wszystkich do jednego worka.

— A teraz banalne pytanie o plany twórcze na przyszłość.

— Już za dwa dni, rozpoczynam zdjęcia do filmu społeczno-obyczajowego „Zabijcie czarną owcę”. Scenariusz Ryszarda Kłysia według jego powieści pod tym samym tytułem. Rzecz dzieje się w środowisku młodzieżowym i jest to portret młodego człowieka, który szuka swego miejsca na ziemi.

— Przepraszam bardzo, ale w związku z tym nawiązuje mi się pytanie, co Pan sądzi o poszukiwaniu swego miejsca na ziemi przez naszą kinematografię? Chodzi mi zwłaszcza o pewne ekstremistyczne głosy, które noszą charakter polowania nie tyle na czarownicę, co na reżyserów.

— Środowisko nasze zdaje sobie sprawę, że musi oczyścić swoje szeregi. Jest pewna grupa ludzi, która nie powinna zajmować samodzielnych stanowisk twórczych. Z tym, że różnica między nami, a głosami z zewnątrz typu Urbana czy „korespondenta z Białołęki”, polega na tym, że my chcemy to załatwić — widać nam się — w sposób bardziej humanitarny. Tamta strona domaga się publicznego ukamienowania, kiedy my chyląc głowy nad śmiercią artysty, chcemy im umożliwić odejście ze sceny bez dodatkowych upokorzeń.

— Co Pan sądzi o skandalu zwanym „Dr Ewa”?

— Według mnie nie istnieje zły scenariusz, zły aktor, zła muzyka, można tu tylko mówić o pomyśle reżysera, dlatego, że reżyser jest ostatnią instancją, decydującą o przyjęciu takiej czy innej propozycji scenariuszowej i decydują o ostatecznym kształcie obrazu. Współtwórców filmu jest wielu, natomiast odpowiedzialność za całkowity efekt artystyczny dzieła ponosi wyłącznie reżyser.

— Mówi się obecnie bardzo głośno o kolejnej reorganizacji polskiej kinematografii. Jak dalece sprawa ta jest zaawansowana i w jakim kierunku pójdą zmiany?

— Jesteśmy na etapie bezpośrednich rozmów z administracją. Zasadnicze kierunki zmian zostały już przyjęte, a są to: usamodzielnienie Zespołów pod względem programowym, personalnym i produkcyjnym. Wszystkie pozostałe zmiany mają być tak ustalone, ażeby cała swą mocą służyły ich realizacji. Ideowo-artystycznym tłem tych zespołów, jasną jest rzecz, że sama reorganizacja nie będzie tu cudownym eliksirem, który załatwi wszystko, bo jaki nasz polski film będzie — zależy to wyłącznie od czołówek naszych reżyserów. Wydaje mi się, że proponowane zmiany, umożliwią szybsze osiągnięcie celu.

— I na zakończenie naszej rozmowy proszę o sprostowanie, meska odpowiedź na pytanie, co Pan sądzi o przeniesieniu łódzkiej Szkoły Filmowej do Warszawy?

— Wiem doskonale, że Szkoła ta posiada w Łodzi świetne warunki lokalowe, opieki i troskę władz i watpie, czy gdzie indziej będzie miała takie warunki. Ale... jestem za przeniesieniem tej do Warszawy, gdyż znajduje się tam cała kadra wykładowców i praktyków filmu. W każdym bądź razie, jeśli nie cała szkoła, to Wydział Reżyserii powinien znaleźć się w Warszawie.

— Bardzo dziękuję za szczerą wypowiedź, choć się z Panem w tej materii nie zgadzam.

Rozmawiał:

KAROL BADZIAK

Indywidualność twórcza Kazimierza Karpińskiego rysuje się wyraźnym konturem na tle łódzkiego środowiska plastycznego. Więcej — ten młody wiekiem malarz i rzeźbiarz (dyplom Wyższej Szkoły Plastycznej w Łodzi otrzymał w 1966 r.) wykazuje cechy, które w sztuce dnia dzisiejszego nie są powszechne, zwłaszcza właśnie wśród młodych. Wykazuje mianowicie Karpiński pełną świadomość twórczych wysiłków, świadomość odpowiedzialności, jaka ciąży na twórcy za każde wypowiedziane przez siebie słowo, gest, obraz, rzeźbę. W chaosie produkcji artystycznej, w chaosie propozycji i manifestacji, jakże często nie przemyślanych i nazbyt pośpiesznych, taka postawa wobec sztuki, odbiorcy i samego siebie musi zwracać uwagę i wzbudzać szacunek. Karpiński traktuje sztukę serio. Traktuje ją tak, jak traktowali ją mistrzowie cechowej gotyki, renesansu, baroku. Jedyną uwagę obdarza i formę i treść tą samą formą wyrażane i sama wreszcie rzemieślniczą sprawność, potrzebną do zmaterializowania plastycznego zamysłu. Ogromne zdolności manualne, niechęć do improwizacji i tandety, poszanowanie tworzywa, z którego buduje i umiejętność celowej obróbki tego tworzywa sprawiają, że obrazy i rzeźby Karpińskiego posiadają trwałość i materialną szlachetność. Wyzbyte są natomiast owej rażącej tymczasowości, nietrwałości, która często przekreśla dosadność wypowiedzi.

Dorobek twórczy Kazimierza Karpińskiego jest ilościowo niewielki. Karpiński pracuje powoli, z rozmysłem dobierając elementy i detale, składające się na całość kompozycji. Ale każdy rok po dyplomie przynosił mu nagrody i cenne wyróżnienia na wystawach i konkursach. W 1967 otrzymał wyróżnienie w konkursie na rzeźbę Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków. W 1968 — pierwszą nagrodę i wyróżnienie w konkursie na Pomnik Martyrologii Dzieci w Łodzi (którego nie realizował z racji „młodego wieku”). W tym samym roku i w roku następnym, 1969, pierwsze nagrody na konkursach na rzeźbę Okręgu Łódzkiego ZPAP. Również w 1969 otrzymał Karpiński nagrodę specjalną dla młodego malarza łódzkiego w konkursie na obraz. Rok 1970 przyniósł mu nagrodę Przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku na Ogólnopolskiej Wystawie Młodego Malarstwa, Rzeźby i Grafiki w ramach XXI Festiwalu Sztuk Plastycznych w Sopocie oraz pochlebne recenzje w prasie centralnej.

Jak już powiedziałem, Karpiński zajmuje się rzeźbą i malarstwem. Podstawowym materiałem rzeźbiarskim jest dla niego metal, który poddaje wielostronnej obróbce, łącząc go często z innymi tworzywami — z plastikiem, z żywicami epoksydowymi. W rzeźbach swoich używa często elementów gotowych, będących wytworem gospodarczej działalności człowieka, detali, w których można czasem odczytać jeszcze ich dawne przeznaczenie. Ale przedmioty te — bak motocyklowy, koło od roweru — wkomponowane w rzeźbę, tracą swoje pierwotne znaczenie, nabierają innych treści, podlegają rygorom artystycznego myślenia i odczuwania. Wyraz rzeźby i obrazów Karpińskiego wyznaczany jest charakterem stosowanego tworzywa. Niemniej błędem byłoby umieszczenie jego twórczości w sferze czysto formalnych fascynacji. Tematem rzeźb i obrazów Karpińskiego jest zawsze człowiek i jego działalność. Sylweta ludzka, zdefiniowana co prawda, obdarzona hojnie licznymi rekwizytami, nabierającymi wielorakich znaczeń symbolicznych, zmieniona jest w proporcjach czasami tak dalece, że trudna do zdefiniowania. Poprzez metal odpowiednio spreparowany, poprzez ekspresję rozdarć, spoleń, faktur, poprzez kontrasty gładkich i chropowatych powierzchni, pieszczących i łniących i matowych wyrazić pragnie Karpiński niepokój, niepewność, wciąż przyspieszając rytmem dnia dzisiejszego. Odnajdujemy w jego twórczości także reminiscencje totalnego zagrożenia, strachu przed słami wobec których sztuka była zawsze bezsilna, ale obok których nigdy nie przechodziła obojętnie do porządku dziennego. Strachu przed słami wobec których, jak świat światem, zawsze zajmowała sta-

Z pracowni łódzkich plastyków

nowisko protestu, które piętnowała niezależnie od konwencji formalnych, w jakich się ujawniała.

I nie jest sprawą przypadku, że właśnie po metal, a nie drzewo, kamień czy gips, sięgnął Karpiński. To tworzywo najpełniej mogło wyrazić wszystkie nastroje, klimaty i niepokoje, które pragnął artysta nam przekazać, z którymi pragnął się z nami podzielić.

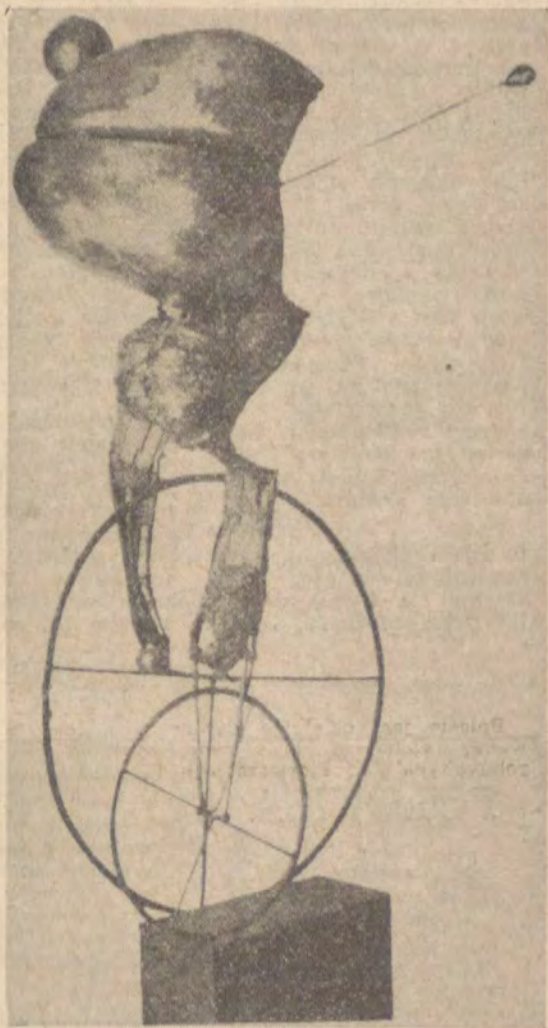
Rzeźby Karpińskiego charakteryzuje ogromny ładunek ekspresji i siły wyrazu. Taka ekspresja nie wyraża się jednak krzykiem i teatralną gestykulacją. Jej siła polega na umiarze i pewnej nawet dyskrekcji. Odnajdujemy ją we wnętrzu w środku formy, w ciężkiej, gatunkowym samego tworzywa, Karpiński przemawia stanowczo i wyraźnie, ale bez demagogii tak charakterystycznej dla wielu współczesnych artystów. Dorzuca po prostu i naturalnie swój głos do ogólnego dialogu o dniu,

wzbogaca on często elementami rodem raczej ze świata rzeźby. Obok koloru nawarstwione faktury, napięcie nad powierzchnią obrazu struny, nabijane rytmy nitów i kołców, łamią niegdysiejszą strukturę malarstwa, ale jednocześnie wzbogacają i potęgają siłę wyrazu. Te zabiegi nie dziwią ani nie drażnią nas dzisiaj. Wszak wszystkie chwytły są dozwolone w sztuce, przypominającej przecież „wolną amerykankę” a liczy się przecież tylko ostateczny efekt i dzieło talentu oraz rodowód artystycznej kleski lub zwycięstwa. A czy obrazy Karpińskiego nazywać będziemy obrazami, malarstwem czy też kompozycjami, to nie ma większego znaczenia. Ważny jest fakt, że stanowią one przedmiot naszego zainteresowania, że budzą w nas refleksje, pobudzają wyobraźnię, dostarczają przeżyć estetycznych.

Trudno powiedzieć, jakimi szla-

ANDRZEJ GRUN

KSZTAŁT I TWORZYWO



Kazimierz Karpiński — „Ekwilibrysta” — metal

w którym przyszło mu żyć. Umiar ten zamyka nie tylko kulturę, ale i wrodzony instynkt plastyczny, będący prawdziwą busolą, wyznaczającą właściwy kierunek działania artystycznego.

Karpiński nie interesuje się w rzeźbach problemami zagospodarowania plastycznego przestrzeni. Fascynuje go raczej forma zwrata, zamknięta, statyczna. Więcej uwagi sprawom przestrzeni poświęca Karpiński w obrazach, stojących czasami na pograniczu płaskorzeźb, Srodki malarskie

kami iść będzie dalej sztuka Karpińskiego. Przebyta przez niego droga — to zaledwie kilka kroków, kilka pierwszych kroków. Postawionych mocno, co prawda, z rozmachem, ale i z rozważą. Kreślenie horoskopów na przyszłość wydaje się co najmniej nie stosowne. Ale pamiętając o światowej odpowiedzialności artysty za każdy jego obraz, każdą rzeźbę, możemy mieć nadzieję, że Karpiński obdaruje nas w przyszłości również hojnie, jak czynił to dotychczas.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”

★ ANDRZEJ HAMPEL — TROGLODYCI WŚRÓD KSIĄŻEK

★ BOKS — PIĘKNY, MĘSKI SPORT?

★ BOLĄCZKI MOJEJ DZIELNICY

oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna

TERESA WOJCIECHOWSKA

Muzyka w Łodzi

PRZYPOMNIENIA

Kiedy przed trzema miesiącami rozmawiałam z dr Zygmuntem Łatoszewskim, właśnie otrzymał nagrodę Związku Kompozytorów Polskich za krzewienie muzyki polskiej za granicą. A właśnie krzewienie muzyki polskiej, szczególnie muzyki operowej, której jest jednym z największych w kraju znawców, stanowi konsekwentną linię działania w czterdziestoletniej pracy dr Łatoszewskiego przy pulpicie dyrygenckim. Rozmawiałam wówczas o polskiej twórczości operowej i o sprawach Teatru Wielkiego, którego jest kierownikiem artystycznym. Rozmowa ta przypomniała mi się ostatnio, gdy przeczytałam o odznaczeniu Zygmunta Łatoszewskiego Orderem Sztandaru Pracy I klasy w Dniu Działacza Kultury.

Ze wszech miar zasłużone to odznaczenie przypada w czterdziestolecie pracy artystycznej, z której dziesięć lat poświęcił Łodzi, Operze

Łódzkiej, jej umocnieniu, nadaniu oblicza, okrzepieniu. Niewątpliwie w Łodzi obchodzić będzie swój jubileusz, na który — jak sam powiedział — wciąż nie ma czasu. A nie ma czasu, bo mimo owych 40 lat pracy, jubilat prowadzi wciąż żywot bardzo pracowity. Dyryguje gościnnie w innych miastach, występuje również za granicą. Obecnie przygotowuje w Duesseldorfie „Aidę” — po włosku i „Wesele Figara” po niemiecku. Korzysta, że ma w Łodzi trochę „luzu”. W Teatrze Wielkim Henryk Czyż wraz z Danutą Baduszkową przygotowuje swoją „Białowłosa”. Będzie to kolejna premiera tego teatru.

A tymczasem odbyła się tu, prawie nie zauważona, premiera 1-aktowego baletu „Sylfidy” do muzyki Chopina. Pozytywnie włączono do programu „Wieczór baletów polskich” na miejsce wycofanego „Na posterunku” Stanisława Moniuszki. Bardzo to pożyteczna za-

miana. Nie będę przypominać pozycji wycofanego. Jej miejsce zajęło widowisko starannie przygotowane, czyste stylistycznie, stanowiące prawdziwą satysfakcję dla oka. Opracowanie choreograficzne „Sylfidy” — dzieło Witolda Borkowskiego i Barbary Kasprowicz, piękne, niemal malarskie w układzie plastycznym, obfituje w interesujące, bogate rozwiązania taneczne. Jakże rzadko dziś mamy okazję oglądać balet klasyczny w czystej postaci, jakąż to przyjemność go oglądać! Zmienność nastrojów, osiągnięta dzięki odpowiedniemu układowi poszczególnych pozycji sprawia, że widowisko nie jest ani przez moment nużące. Skromna dekoracja projektu Haliny Korytowskiej — polski pejzaż w tle sceny — dobrze współgra z nastrojem muzyki chopinowskiej.

Orkiestrze, przygotowanej i poprowadzonej przez Arkadiusza Basztonia, nie zarzucić nie można. Można by natomiast mieć pretensje do instrumentacji, szczególnie szokującej w uwerturze — Polonezie op. 40 nr 1. Przeładowanie blachą sprawia wrażenie, że polonez ten został opracowany dla orkiestry dętej. Nadmiar blachy dał się słyszeć zresztą i w innych pozycjach, np. Walcu op. 64 nr 2. Wydaje się, że charakter muzyki chopinowskiej nie najlepiej oddają instrumenty blaszane i nawet, jeśli to jest instrumentacja samego Glazunowa, to dziś nie brzmi nam ona najlepiej i warto by pokusić się o przepracowanie jej, czy też dokonanie nowej instrumentacji „Chopinianów”. W „Sylfidach” występuje czworo solistów: Iwona Wakowska, Ewa Wycichowska, Małgorzata Zalejska i Eugeniusz Jakubiak oraz zespół baletowy. Iwona Wakowska jak zwykle była bezkonkurencyjna, łącznie sylfidowa, lekka, zwiewna. W nie najlepszej formie był

chyba podczas premiery Eugeniusz Jakubiak, chwila mi mało precyzyjny. Miejmy nadzieję, że więcej precyzji w synchronizacji ruchów wypracują i corps de ballet.

Tymczasem ewentualne przyszłe kadry dla Teatru Wielkiego przystąpiły do egzaminów końcowych w tym roku akademickim. Mam na myśli studentów wydziału wokarno-aktorskiego Wyższej Szkoły Muzycznej. I o nich pisałam niedawno, obecnie miałam okazję oglądać końcowy efekt pracy I i II roku studentów na kierunku aktorskim. Słuchajam recytacji fragmentów „Pana Tadeusza”, oglądałam sceny z „Mazepy” Słowackiego. Doprawdy, patrząc na nich i słuchając wierzyć się nie chce, że młodzież ta podczas egzaminów wstępnych uznana została w 90 procentach za pozbawioną predyspozycji aktorskich. A przecież to dopiero pierwsze lata. Nie wiem jakie są ich postępy muzyczne, wokalne. Ale przecież czynnikami decydującymi o przyjęciu na studia były właśnie warunki muzyczno-wokalne, więc tu postępy powinny być jeszcze lepsze. Jeśli tak jest istotnie, za kilka lat teatru muzycznego będą mieli z tych artystów pociechę. A wydział przestanie nosić nazwę eksperymentalnego. Te pierwsze lata wydziału są chyba również bardzo ważne dla pedagogów. Tej miary i doświadczenia wykładowcy co prof. prof. Hanna Makowska czy Irena Wojtycka, tutaj muszą wypracować nowe metody pracy, zdobywać nowe doświadczenia w kształceniu szczególnego typu studentów. Wydaje się, że o konkretnych osiągnięciach w zakresie metodyki pracy będzie można mówić po ukończeniu studiów przez pierwsze roczniki. Dlatego ważne jest, by były one poprowadzone przez tych samych pedagogów od początku do końca.

TE OBIEKTYW

ŚLUCHAMY I PATRZYMY (JUŻ DWA LATA)

Przeszło dwa lata temu (dokładnie: w „Odgłosach” datowanych 7.IV.1969) omówiłem w T-O piąty kolejny program z cyklu „Słuchamy i patrzymy” pt. „Orkiestra i batuta”. Autorem scenariusza i prowadzącym był Janusz Cegiella, a reżyserem R. Ray-Zawadzki. Popularny obecnie cykl programowy, stawiający sobie za zadanie strawne upowszechnianie dobrej muzyki, w tym czasie dopiero się rozkręcał.

Dziś chwalić „Słuchamy i patrzymy” to niemal truizm, ale mamy niejaka satysfakcję, że T-O dość wcześnie „wy-patrzył” telewizyjne i kulturowe walory tego programu, uczulając na nie swoich czytelników. Uwagi te kreślię najzwyklej po nadaniu XXV z rzędu programu w tym cyklu pt. „Od trubadurów do Trubadurów” (Telewizja Katowice: 26 maja 1971).

Nie zamierzam malować tu jubileuszowej laurki. Ostatecznie dwadzieścia pięć programów to nie pretekst do jubileuszu. Natomiast zajęcie się oglądaniem wczoraj programem. Na wstępie nasunęła mi się pewna refleksja. Januszowi Cegielli udało się właściwie wyważyć proporcje między dydaktyką i rozrywkowym charakterem widowiska.

W efekcie dydaktyka, stałe dążenie do ukształtowania kulturalnego odbiorcy muzyki i to nie tylko w najłatwiejszych jej odmianach (tu sprzeniewierzam się Cegielli, który stwierdził przed kamerami, że nie ma muzyki łatwej i trudnej, lekkiej i ciężkiej, przyjemnej i nieprzyjemnej, poważnej i niepoważnej, jest tylko muzyka zła i dobra), stała się dyskretnym czynnikiem porządkującym i selekcyjnym kolejne utwory muzyczne, które wykonywała cała plejada znakomitych gwiazd opery i estrady.

Dzięki takiemu potraktowaniu dydaktyki przestaliśmy odczuwać jej uciążliwość. Słuchaliśmy i patrzyliśmy z poczuć satysfakcji dobrze obsłużonego słuchacza i widza. Co więcej: na te słabości programów rozrywkowych w telewizji, co ostatnimi czasy stało się regułą, formula przyjęta przez Cegiellę, bezpretensjonalna i niewymuszona, daje przykład, w jaki sposób należy bawić telewizora.

Zabawa, jaką zaproponował nam autor programu, była wysmienita. Wszyscy tu właściwie zamienili się rolami: sławni kompozytorzy muzyki poważnej zaprezentowani zostali jako autorzy utworów rozrywkowych, piosenkarze estradowi wykonywali muzykę dawną a śpiewacy operowi współczesne piosenki, krakowskie trio barokowe grało tango „Jolousie”, a Irena Santor śpiewała Moniuszkowską „Prząśniczkę”...

Temu przemieszanu stylów i specjalności towarzyszyły karnawałowe wręcz przebranki. Dla przykładu: upolne tango tańczyły pary w staropolskich sukniach i kontuszach, a monodii trubadura z XIII wieku, księcia Nowarry, wykonywał Tadeusz Wójcikowski w smokingu.

Niekonsekwencja pewna w tej grze przesunięć w czasie, stylu i interpretacji był występ Mieczysława Fogga z jego nieśmiertelnym „Co nam zostało z tych lat”. Tu wykonawca pozostał niewolniczo wierny swojemu repertuariowi i swej interpretacji (bodaż by go chociaż przebrano w jakiś historyczny kostium).

Ogólna koncepcja programu określiłabym jako szachową. Dlaczego? Bowiem autor, i prowadzący w jednej osobie przesuwali swobodnie wykonawców jakby na wielkiej szachownicy. Szachownicy, która nazywa się: Muzyka. Nie chodziło przy tym o zaskoczenie i konieczne konfrontacje. Myśl była głębsza. Chodziło o wykazanie, że wszelkie podziały i bariery są na obszarze muzyki mniej lub bardziej sztuczne. Muzyka jest w gruncie rzeczy jedna, choć ma tyle przejawów i manifestacji, tyle stylów i gatunków.

Co więcej muzyka nikogo nie odręca. Jest dostępna w gruncie rzeczy dla każdego, kto chce jej słuchać. Nie powinniśmy z góry nastawiać się na pewne tylko jej rodzaje, odrzucając inne jako niezrozumiałe lub nużące. Zwolennikowi beatu wielu wzruszeń może dostarczyć romantyczna symfonia, czy renesansowy motet.

Tak zrozumieliśmy intencje programu „Od trubadurów do Trubadurów”.

WŁADYSŁAW ORLOWSKI

POLONICA

POLACY
W LEKSYKONIE
NIEMIECKIM

W początkach bieżącego roku ukazał się w Lipsku (NRD), nakładem Bibliografischen Institut słownik pisarzy pt. „Fremdsprachige Schriftsteller” (Pisarze obcojęzyczni). Słownik zawiera 1000 nazwisk z lite-

ratury światowej dawnej i współczesnej. Nas, rzecz zrozumiała, zainteresowały najbardziej nazwiska pisarzy polskich; i tu ich i jacy. Otóż w słowniku tym uwzględniono ogółem 42 pisarzy od Kochanowskiego aż do Różewicza. Po drodze zgubiły się takie nazwiska jak Asnyk, Przerwa-Tetmajer, Leśmian i jeszcze paru innych.

Słownik opracowany został starannie, ale autorzy jego nie ustrzegli się

błędów. Na przykład: Jerzemu Putramentowi przypisano, że był „od 1937 redaktorem naczelnym „Polityki”. Tymczasem jako żywo Putrament nigdy w „Polityce” nie pracował. Nieścisłości wkradły się również do biografii Jarosława Iwaszkiewicza. Autorzy piszą, że Iwaszkiewicz chętnie slegał po tematykę z okresu średniowiecza i oprócz „Matki Joanny od Aniołów” wymieniają jako przykłady

„Panny z Wilka” oraz „Młyn nad Utrą”. Mimo tych (nie)licznych zresztą błędów należy uznać, że niemiecki słownik pisarzy uwzględnił stosunkowo dużą ilość polskich autorów i że zarówno ich życie jak i twórczość przedstawia w sposób obiektywny i sprawiedliwy.

JK.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Oklaski w sali kinowej słyszy się niezwykle rzadko, zachowuje się je wyłącznie na oficjal-

ne premiery i na festiwale filmowe. Sprawa teatralnej tradycji zdecydowała o tym, że

skoro nie słyszą nas żywi twórcy, braw nie bijemy. Jeśli zatem rozlegną się w kinie, stają się wyrazem nie tylko zwyczajnej grzeczności, jak to nader często w teatrze bywa, ale najwyższego dla twórców filmu uznania. Brawa rozległy się, gdy w obecności nie więcej niż trzydziestu osób oglądałam w kinie „Przedwiośnie” film Gleba Panfilowa „POCZĄTEK”.

Przed trzema tygodniami pisałam z zalem o tym, iż filmowi temu zrobiono krzywdę — wprowadzono go na ekrany bez żadnej reklamy, znikł więc po dwóch dniach. Jakby w odpowiedzi, pozwolono nam oglądać „Początek” w ciągu trzech dni na jednym seansie dziennie o godzinie 16-tej. Film spisano już chyba z góry na straty, nie uwierzono siłę oddziaływania recenzji filmowych, które w międzyczasie się pojawiły, nie spróbowano siły reklamy, nie uwierzono widzom. I to już koniec tej smutnej opowieści. A sam „Początek”?

Gdy gasną światła, na ekranie pojawia się obraz jakby poczęty z Bergmanowskiej wizji średniowiecza. Trwa proces Joanny d'Arc, która broni swych racji i swej wiary przed Świętą Inkwizycją. Jesteśmy w środku wielkiego ludzkiego dramatu, ludzkiego losu, który nie tylko znamy z historycznej legendy, który istnieje w zbioro-

wej świadomości również dzięki sztuce, która nadawała mu różne znaczenia, powstaje nowe dzieło sztuki, film o losach Joanny — symbolu. W „Początku” bohaterem nie jest jednakże Joanna d'Arc, lecz Pasza Stroganowa — robotnica z Rieczynska, która gra jej rolę. Panfilow ryzykował bardzo. Poprowadził równoległe oba wątki — dzieje Joanny i dzieje Paszy — te obrosły legendą i znaczącą jedną i nieznaną — drugą. Zaryzykował i wygrał — dzieki Paszy, dzieki temu, że zrobił film o życiu samym, właśnie tym nieznanym, nie znaczącym, a obecnym i najważniejszym. Pasza może grać Joannę tylko dlatego, że jest jaka jest, że w małym, prowincjonalnym miasteczku żyje wśród zwyczajnych ludzi swym niezwykłym życiem. Zaprzeczaj nim tak, jak Joanna w filmie, słowem inkwizytora, który chce widzieć w człowieku tylko zło i słabość.

Niezwykłość Paszy nie polega na nietypowości życiowych losów, które uczyniły z niej aktorkę, najprawdopodobniej zresztą, jednego filmu. Pasza bez tej roli byłaby również taka sama — jej charakter, dobroć i życzliwość, naiwność i zdecydowanie, jej wzruszająca walka o miłość tego, kogo pokochała, i wiara w przyjaźń, są wyrazem jej osobowości, ukształtowanej tam w Rieczyn-

sku, wielka filmowa przygoda była tylko jej próbą i potwierdzeniem. Gleb Panfilow i genialna Inna Czurikowa odkrywają życie wewnętrzne Paszy wolno i precyzyjnie, stopniowo odsłaniając owe wartości duchowe człowieka, którego życie zewnętrzne jest z pozoru tak proste.

W filmie Panfilowa zrealizowanym wspólnie ze scenarzystą Gabrieliowiczem wznusza najbardziej owo tropienie uczucia jako prywatnej własności człowieka. Skala tego uczucia i jego kierunek może być różny, ono jednakże wzbogaca i kształtuje człowieka, określa jego wartość i sens jego najskromniejszego nawet życia. Zderzył dzieje Paszy i jej prywatnej, bardzo osobistej, dla innych mało znaczącej tragedii, z tragedią Joanny, której sens ogólnoludzki zdaje się niewspólnie ważniejszy i nie popędzić pomyłki, to przykład o-wych granic, na których sztuka sprawdza swą wielkość. Ten wątek stanowi główną linię dramatyczną i określa dynamizm „Początku”, lecz wartości tego filmu szukać należy również w tym, co stanowi tło sprawy wiódcej, a co jest społecznym tematem filmu Panfilowa. Obraz miasteczka, przyjaciół i ludzi, wśród których żyje Pasza to jeden z najbardziej doskonałych portretów zbiorowości ludzkiej, jakie kino przyniesie dziś

może. Składają się na to nie tylko doskonałe w rysunku poszczególne sylwetki ludzkie, ale nade wszystko to, co wylania się z owych spraw i wydarzeń maleńkich, powszednich. Panfilow tworzy nie tylko znakomite portrety indywidualne (Arkaszka i jego żona, przyjaciółki Paszy, Pawlik), odkrywa to, co stało się nową obyczajowością, zlepkiem najróżniejszych wpływów, co właściwie jest już kulturą. W obyczajowości tej tkwi Pasza i jej przyjaciele, oglądamy ich sposób życia, a nie jest to obraz radosny — zwyczajna praca, więcej niż skromne mieszkanie, smutne i żałosne zabawy — masówki, wypełniające tak zwany czas wolny, ludzie żyjący obok siebie na zasadzie przyzwyczajenia, czekający na miłość, która nią nie będzie. Te sprawy były tematem niejednego już utworu. W filmie Panfilowa uderza jednak sposób ich widzenia, twórcy nie łagoda wymowy obrazów, pytają, czy tak żyć trzeba, a jednocześnie dają wyraz wierze autentyczności człowieka w do-brym i złym, szukają pokładów wartości, które jeśli w nim tkwią, przebijają się przez ową niechęć, banal i smutek.

W krótkiej relacji można o „Początku” powiedzieć tylko tyle, reszta jest w samym filmie.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

CENNY MANUSKRYPT (JESLI AUTENTYCZNY)

Kiedy Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę, na terenach zamieszkałych przez Indian znajdowały się cenne zabytki i pomniki kultury. M. in. istniały tam teksty, spisy obrzędów rytualnych, kroniki, tabele

nie został odszyfrowany.

Nowe nadzieje wśród naukowców wzbudził teraz czwarty rękopis Majów, który niespodziewanie pojawił się na jednej z wystaw nowojorskich wywołując wśród naukowców wielkie poruszenie. Jest to jedenastostronicowy manuskrypt sporządzony na

odkład na rynku antycwarskim zabytki Majów poszły bardzo w cenę — pojawili się też bardzo wyspecjalizowani fałszerze. Trzeba więc jeszcze poczekać na dokładną analizę chemiczną owego manuskryptu, a wtedy można będzie stwierdzić czy istotnie jest on oryginalny. Gdyby się okazało, że jest autentyczny, pojawienie się tak rzadkiego zabytku byłoby rzeczywiście ogromną sensacją.

HISTORYK SZTUKI DETEKTYWEM?

Blisko tuzin nie znanych, albo uważanych za zaginione, dzieł wielkich mistrzów odszukał lub zidentyfikował brytyjski historyk sztuki, David Carritt. Odkryć tych dokonał przede wszystkim w Anglii. Obecnie wybiera się na poszukiwania do Europy.

Jak Carritt zaczął swą karierę detektywa historyka sztuki? Pewnego razu był gościem u pewnej lady. Nagle w trakcie rozmowy ze zdumieniem ujrzał na ścianie pokoju malowidło, które według jego najgłębszego przekonania musiało być dziełem Rogera van der Weydena (1399—1464) arcy-

szego przekonania musiało być dziełem Rogera van der Weydena (1399—1464) arcy-

W dwa lata po tym odkryciu brytyjski historyk sztuki odnajduje obraz Włocha Michelangelo Caravaggio (1573—1610) zatytułowany „Maria, upominająca swą siostrę Marię”. Obraz ten od roku 1697 traktowano jako zaginiony. Carritt znalazł owe dzieło u pewnej zamożnej rodziny, która nigdy nie zajmowała się kolekcjonowaniem dzieł sztuki i dlatego nigdy nie odwiedzała jej zadołu z marszandów. Identyfikacja dla Carritta była łatwa. Znal obraz z doskonałej kopii, przed którą stał w studium w Oxfordzkiej bibliotece. Tym razem, jak się okazało, był to oryginał. Przewieziony do Londynu znajduje się wkrótce na licytacji.

Później nastąpiły dalsze odkrycia Carritta:

W roku 1897 znajduje on u pewnego marszanda w Dublinie pięć zakurzonych i zabrudzonych obrazów wenecjańczyka Francesco Guardi (1712—1793). Dwa z nich są teraz własnością nowojorskiego Metropol-

tan Museum. W roku 1958 Carritt identyfikuje „Sw. Hieronima na pustyni” przypisywanego Włochowi Giovanni Caroto (ok. 1480—1555) jako dzieło Dürera. W roku 1965 odkrywa w budynku poselstwa egipskiego w Londynie obraz Giovanni Battista Tiepolo (1696—1770) — obecnie własność londyńskiej National Gallery. Carritt — jak sam twierdzi — odkrył kilka jeszcze obrazów o wielomilionowej wartości, lecz ze względu na niebezpieczeństwo kradzieży i ew. koszty ubezpieczenia, nie chce ujawniać nazwisk posiadaczy tych dzieł.

W jaki sposób udaje się Carrittowi to co nie udawało się innym? Jak się to dzieje, że Carritt uchodzi za najlepszego detektywa sztuki? W czym leży tajemnica jego powodzenia? Otóż Carritt posiada olbrzymią wiedzę w dziedzinie historii sztuki, ma on dokładną znajomość dzieł wszystkich wielkich mistrzów. Jeśli nie z oryginałów to z kopii. Dysponuje też fenomenalną pamięcią wzrokową. Zwieździł tysiące galerii i muzeów, studiując systematycznie stare katalogi wystaw i licytacji. A poza tym ma pewne swoje metody. Przegląda np. starannie brytyjski herbarnik i szuka potem u ludzi, którzy są spadkobiercami wielkich rodzin arystokratycznych i szlacheckich z XIX w., czy nie znajdzie się u nich jakiś zapomniany obraz.

Pewnego razu Carritt na zlecenie jednego z londyńskich marszandów miał wymienić drzeworyt szwajcarskiego artysty Tobiasa Stimmera na kilka rysunków zoofiarowanych przez hamburską Kunsthalles.

Wśród rysunków tych były dwa: „Pastuszek owiec” i „Czarny paż”, które Carritt uznał przed rokiem za prace francuskiego malarza rokokowego Watteau (1684—1721).

„Na passe-partout — mówi Carritt — napisał: „J. A. Watteau” i moje inicjały. Dyrektor Kunsthalles powiedział wręczając mi rysunki: „Niech się pan nie przejmie tym, że jakiś głupiec utrzymuje, iż są to rysunki Watteau”. Oczywiście dyrektor nie zorientował się, że tym

„głupcem” jest Carritt. W jakiś czas potem specjalista i wybitny znawca malarstwa Watteau, Charles Parker stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że „Pastuszek owiec” i „Czarny paż” są dziełami Watteau.

NAGRODY PULITZERA

Jury amerykańskiej Nagrody Pulitzera postanowiło w tym roku nie przyznawać żadnej nagrody za powieść. Natomiast nagrodę w dziedzinie dramatu otrzymał Paul Zindel za sztukę, która od roku utrzymuje się na afiszach nowojorskich. „The Effect of Gamma Rays on Man in the Moon Marigolds”. Nagrodę za najlepszy reportaż zagraniczny przyznano Jamesowi Lee Haglandowi za cykl artykułów drukowanych w „Washington Post”. Tematem artykułów jest walka z rasizmem w Arcyze Południowej. Nagrodę w dziedzinie historii otrzymał James Mac Gregor, a nagrodę w dziedzinie poezji William S. Merwin, w dziedzinie muzyki L. Dawidowski za utwór pt. „Synchronizm Nr Sześć”. Wysokość pieniężnej nagrody wynosi po 1.000 dolarów każda.

ZAPOMNIELI O AUTORZE

Nazwisko Luchino Visconti trzykrotnie figuruje na zaproszeniu na londyńską premierę filmu pt. „Śmierć w Wenecji”. Luchino Visconti jest producentem, reżyserem i scenarzystą tego filmu. Zapomniano tylko dodać, że film został nakręcony na podstawie noweli pod tym samym tytułem Tomasza Mann'a.

Skąd my znamy te obyczaje?

DUKE ELLINGTON W ZSRR

W ramach wymiany kulturalnej radziecko-amerykańskiej we wrześniu odwiedzi ZSRR słynny amerykański muzyk jazzowy Duke Ellington wraz ze swym zespołem. Da on koncerty w Moskwie, Leningradzie i kilku innych miastach Związku Radzieckiego.

Bez strachu

SPALĘ SAMOCHÓD

Ja: Gdzie biegniesz, trzymając w ręku bankę z benzyną, samochodowe książeczki PKO oraz kupony Toto-Lotka!

On: Biegnę do mego domu, do domu, który uczyniłem magazynem, magazynem, że tak powiem, służącej sprawy.

Ja: Powiedz mi, co to za sprawa i co w niej słusznego. Powiedz mi także zwięźle, po co ta benzyna, te książeczki PKO oraz kupony Toto-Lotka!

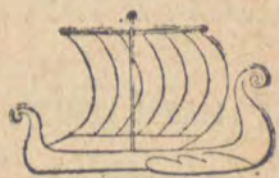
On: Powiem ci w niewiele słów, kupony i książeczki zbieram dlatego, aby wygrać samochód, benzynę zaś dlatego, by go skutecznie spalić.

Ja: Powstrzymaj się, nieścisze, mało, że stracisz cenny pojazd, jeszcze wywołasz pożar w mieście, stając się sprawcą niebezpieczeństwa i zamieszania, obywateli powiadaj cię przed sąd i zostaniesz ukarany! Pomyśl wreszcie, jak gorszący dasz przykład samochodowej młodzieży i samochodowym starcom. Czy serca twoje i wyobraźni twej nie poszerzy wizja tysięcy obywateli palących swoje samochody?

On: Do tego właśnie dążę — mam obecnie jednego wroga, który jest przeciw wrogom całej ludzkości: diabeł, rakotwórcze spaliny. Jeżeli tylko wygram samochód, nie cofnę się, w stosownym miejscu dam świadectwo prawdziwe.

Ja: Oczywiście, wielu zginięło przez samochody, ale też znacznie więcej jest tych, którzy dzięki samochodom ocalili: „Świat ci nie odda, idąc wstecz, młnionych mar szeregu” — mówiąc zwięźle, nie cofniesz cywilizacji.

On: Mnie nie chodzi o przejechanych, o tych, którym polamano, a potem zestawiono kości. Chodzi mi o tych raczej, którzy ponoszą drobną, codzienną szkodę, rosnącą przez dziesięciolecia skracającą. O tych powoli gazowanych, zamoczonych



hałasem, przyuczonych lekko w deszcz czy mrozy przed przejściem jezdni. W trosce o nich przyłożył zagląd do mego wozu. Spalę go dla przykładu, spalę go niejako społecznie i legalnie.

Ja: Jak wielką masz szansę wygrania wozu? On: Matematycznie już jedną na tysiąc — moralnie mam wszystkie szanse: słusna sprawa zwycięży! No bywa, śpię po pakule, ujrzyj mnie niebawem w klubach dymu.

BERNARD SZTAJNERT



Fragment nowojorskiego manuskryptu Majów

astronomiczne, książki o uprawie roli, dzieła kartograficzne. Ale barbarzyńscy konkwestadorzy i następnie fanatycy mnisi niszczyli biblioteki i centra indyjskiej kultury.

Do naszych czasów zachowały się jedynie trzy rękopisy Majów, z tym że ostatni został znaleziony przed blisko wiekiem. Rękopisy te, przechowywane są jak najcenniejsze relikwie w Dreźnie, Paryżu i Madrycie. Najpiękniejszy i najstarszy tzw. „Kodeks drezdeński” jest rodzajem almanachu religijnych przepowiedni. Według jego ilustrowanych tablic Majowie obliczali ruchy gwiazd, a przede wszystkim górną planety Wenus, którą uważano za sprawczą kłopotów. Jakkolwiek uczeni potrafia zrozumieć wiele z symboli manuskryptów, odszyfrowali wyłącznie astronomie, odgadli znaki odnoszące się do topografii to jednak większość hieroglifów, a zwłaszcza system pisma Majów

specyficznym spreparowanym materiale z roślinnego włókna i powleczony warstwą wapna, podobny zresztą z wyglądu do trzech znanych już manuskryptów Majów. Pocho-

dzienie tego zabytku owiane jest tajemnicą. Nie wiadomo skąd się pojawił w Nowym Jorku. Jego wartość w pieniądzu jest olbrzymia. Tylko najbogatsze muzea mogłyby sobie, i to z pewnym trudem, pozwolić na jego zakup. Tylko od kogo? Właściciel owego manuskryptu nie ujawnił dotąd swego nazwiska.

Jeśli chodzi o autentyczność zabytku to amerykański archeolog Michael D. Coe twierdzi z całą stanowczością, że manuskrypt jest oryginalny i pochodzi z 15 wieku. Jego treścią jest wyliczenie obrotów planety Wenus.

Hamburski uczonej profesor Haberland zapatruje się jednak dość sceptycznie na prawdziwość rękopisu. Twierdzi bowiem, że



Michelangelo Caravaggio — „Maria, upominająca swą siostrę Marię” (fragment). Obraz odnaleziony przez Carritta

czytam pierwsze zdanie: „Nasz Młynek jest już wielki stary — powiedział żelaznicar Mikulas swojej żenie Cecili — Mój byś me ho vyhodil!”... Jedną z piękniejszych baśni „Mlynek do kawy” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Osobną pozycję zajmują na wystawie książki bratysławskiej firmy, wydawcy literatury dziecięcej i młodzieżowej. Firma „Mlade leta” wydaje także książki, po polsku. Przecież na terenie Słowacji jest nie mało skupisk Polaków. Nie dziwi więc piękna książeczka ze słowackimi wierszami ludowymi, wydana przez słowackie wydawnictwo, ale w polskim przekładzie. Polskojęzyczne wydania nie są zresztą żadnym ewenementem — „Mlade leta” wydają książki w językach: ukraińskim, rosyjskim, słowackim, węgierskim, niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, angielskim — a nawet w fińskim i duńskim.

„Mlade leta” wydają ostatnio przeciętnie 180 tytułów rocznie, przy czym ilustrowane książki dla dzieci ukazują się w nakładzie 15 tys. egzemplarzy. O połowę mniejszym niż u nas, gdzie średnia dla tego rodzaju publikacji wynosi 30 tys. egzemplarzy. Jeśli jednak uwzględnimy sobie, że Słowaków jest w CSRS około 5 milionów, a Polaków w Polsce 32 miliony — to znów nam przyjdzie za-

zdrościć zasobności nakładowej słowackiego wydawnictwa.

W parze z ilością idzie też jakość. Myślę tu przede wszystkim o tym, co nawet dla nieznającego języka rzuca się w oczy — a mianowicie jakość poligraficzną książek i ich wystrój plastyczny. Książki bratysławskiej firmy wydawniczej otrzymały wiele wyróżnień i medali na międzynarodowych wystawach i targach książki. Złote medale przyznano w różnych latach z Lipska, Moskwy, Bolonii; książki „Mlade leta” znajdują się na listach międzynarodowych konkursów w Caorle, wyróżnione w Jugendbuchpreis, Honour List Anders...

Na marginesie wystawy eksponowanej w Domu Kultury Nauczycieli warto też wspomnieć, że wydawnictwa Czechosłowacji nie tylko wydają, ale także organizują sobie rynek księgarski. Służą temu celowi Klub Młodych Czytelników przy wyd. „Albatros” oraz Klub Przyjaciół Dobrej Książki przy wydawnictwie „Mlade leta”. Członkowie Klubu otrzymują książki po niższych cenach bezpośrednio z wydawnictwa. Jednocześnie Klub Młodych Czytelników wydaje dla nauczycieli metodyczne pomoce naukowe, informacje o autorach, omówienie wartości literackich książek... W działalności metodycznej Klubu biorą udział fachowcy współpracownicy z

zakresu teorii i praktyki pedagogicznej.

Właściciel Klubu Młodych Czytelników jest ogromną instytucją kulturalną, wychowującą młodzież na aktywnych miłośników literatury. Zakres i formy działalności są tak wszechstronne, że nadają temu ruchowi czytelnickiemu wielką rangę, czego dowodem są choćby doroczne zjazdy odbywane... na zamku w Pradze. Już samo miejsce dorocznych spotkań mówi, jak wielkie znaczenie przywiązuje się u naszych sąsiadów do wychowania młodego pokolenia w zakresie literatury. Z melancholii trzeba stwierdzić, że podobne instytucje kulturalne i podobnie zorganizowane działania jest u nas, niestety, nie znane — a to co się w tym względzie robi przypomina pierwsze kroki niemowlaka przy długodystansowcu Zatopku.

Tak więc wystawa książek i sasiadów zza miedzy jest impreza bardzo pouczająca, choć budząca zazdrość polskich wydawców i nauczycieli. Podróże kształcą — mówi stare porzekadło. Okazuje się, że kształcą również podróże książek, które przybyły do Łodzi z Pragi i Bratysławy. Gdybyśmy tylko zechcieli — i mogli — uczyć się na czechosłowackim przykładowym działaniu młodzieżowych firm wydawniczych!

JERZY WIDOK

NIEDZIELI

KSIAZKI CZESKIE I SLOWACKIE

JEST CZEGO ZAZDROSCIC — 100 MILIONOW EGZEMPLARZY — CZESKIE I SLOWACKIE POLO-NICA — NAKLADY, NAKLADY — ILOSC I JAKOSC — ZLOTE MEDALE — KLUBY MLODZYCH CZYTELNIKOW — PODROZE KSIAZEK KSZALCA

W Domu Kultury Nauczycieli otwarto ciekawą wystawę książki czeskiej i słowackiej. Wystawy książek zagranicznych firm wydawniczych zawsze są ciekawe i pożyteczne. Możemy porównać poziom poligraficzny publikacji, oprawę graficzną, wysokość nakładów... W wypadku wystawy czechosłowackiej przyjdzie nam trochę zazdrościć sąsiadom zza miedzy, zwłaszcza oglądając publikacje dla dzieci i młodzieży.

Praskie wydawnictwo „Albatros”, specjalizujące się w tej właśnie dziedzinie, wydało w ciągu 20 lat około 4 tys. tytułów w łącznym nakładzie ponad 100 milionów egzemplarzy. Są wśród tych publikacji zabawne historyjki obrazkowe znane dzieciom z telewizyjnej „Dobranocki”, jak np. przygody zbroja Rumcajsa, są malowanki i

wycinanki, bajki i seriale rysunkowe, książki dla maluchów i młodzieży starszej...

I właśnie wśród publikacji wydawnictwa „Albatros” znalazłem na wystawie szereg ciekawych poloników. Oto Wojciecha Zukrowskiego „Unos v Stebotane” czyli „Porwanie w Tiuturliście”, Brzechwy „Akademie pana Kan-ky” (tłumaczył chyba nie trzeba), Kerna „Ferdinand bajeczny”, albo zmarłego niedawno Czesława Jan-carskiego „Pibeka a Potulku Macka Uszka”... rzecz o Misiu Uszku. Dla młodzieży starszej dwa bogate tomy Henryka Sienkiewicza. Jeden pod tytułem „V pustl a v pralesse”, drugi „Pouszti a pralesse”... „W pustyni i w puszczy” po czesku i po słowacku.

Biorę do ręki barwną, prześliczną książeczkę i

WSPÓLNICY

(Dokończenie)

Wytrzymałem jego wzrok i rzekłem spokojnie: — Tego nie rozumiem.

— Dziś rano znaleziono George'a nieżywego w samochodzie w pobliżu tamy nad rzeką.

— Przykro mi, czy to był atak serca?

— Arsenik.

Nie zdziwiłem się, a nawet oczekiwałem tego. Arsenik jest podobno trującym wypalającym ranę w żołądku.

Zapaliłem papierosa. Brant nie spuszczał oczu z moich rąk, nie drżały. — Może samobójstwo — rzekłem spokojnie.

— Wiem, że się często spotykaliście. Tydzień temu, w środę, widziano was razem w kawiarni.

— Być może, nieraz wstępując na piwo i jak jest ktoś znajomy chętnie porozmawiam.

Brant wyjął fajkę z ust. — Dwa dni temu byliście razem w New Jersey w czasie tego napadu.

— Kto tak mówi?

Nie boję się policjanta, który szuka dowodów, było jasne, że Brant nie miał żadnego. Nie wiedział nawet, jaka była przyczyna śmierci George'a. Ale ja wiedziałem, kto go zabił i usiłował zamordować nas wszystkich.

Pojechałem do Oscara. Otworzył mi drzwi, był jeszcze w piżamie, nie ogolił się. Wszedłem do salonu. — Czy był u ciebie Brant? — zapytałem.

— Tak, był.

— Czy wiesz, na co zmarł George?

Skinał głową.

— Czy Alma leży jeszcze w łóżku?

— Gdy się dowiedziałem, że to arsenik, kazałem jej udać się do lekarza. Zajął to samo lekarstwo.

— Lepiej nie — doradziłem — Alma może tam dodać arseniku.

— Co to znaczy? — ryknął ze złością.

Nie potrzebuję wiele wyjaśnić. Wiesz doskonale dlaczego Alma włożyła arsenik do wótróbki. Ta kobieta zaczęła cie, i mnie także. Wierzyliśmy, że przebaczyła nam śmierć Phila. A tymczasem uknuła morderczy plan — zamieszkała w twoim domu, gdzie mogła łatwo złożyć nas wszystkich razem i naszpikować arsenikiem.

Nie — mruknął Oscar. — Ona też jadła wótróbkę, jest bardzo chora. Na pewno mnie

nie chciała otruć. Bo pomyśli, miałaby zrezygnować z pięknego domu, pieniędzy, dlatego? Dla głupiej zemsty? Nie! Ona mnie kocha, jestem tego pewny. Jest bardzo czuła, to wspaniała kobieta, piękna...

Jakaś sie. Był zatruty czymś gorszym niż arsenik — seksem, miłością, która przyćmiła jego zawsze jasny umysł.

— Zastanów się — powiedziałem. — Ktoś włożył arsenik do wótróbki, mogła to zrobić tylko Alma.

— To na pewno był ktoś inny, a może ty? Nienawidziłeś mnie, gdyż zabrałem ci Alnę. Nienawidziłeś jej, ponieważ wybrała mnie.

— Włec dlatego zabiłbym także George'a, Toma i Stellę? Ależ to absurd!

— Słyszałem o takim, który włożył bombę zegarową do samochodu i zabił kupę ludzi, żeby pozbyć się tony, która podróżowała wraz z nimi. Prawda jest także, iż jedynie ty nie jadłeś wótróbki. A teraz wyślij się stąd, bo cię zatruję!

Odszedłem, trudno dyskutować z szaleńcem. Pomyślałem o Tomie, należało go odwiedzić. Mieszkał w niedźnej dzielnicy. Wdrapałem się po stromych schodach na drugie piętro i otworzyłem drzwi. W pokoju było tylko żelazne łóżko, a na łóżku leżał na wznak Tom ze sztyltem w piersiach.

Było czterech współników morderstwa Phila, pozostało nas jeszcze dwóch. Alma wyszła z domu pod pretekstem lekarza, a tymczasem przybyła tutaj. Nie widziałem śladów walki widocznie Tom niczego nie podejrzewał. Pochyliła się nad nim, żeby zapytać jak się czuje, a on półprzytomny z bólu, uśmiechał się do niej, gdy wbiła mu nóż w pierś.

Był to sprężynowy nóż, prawdopodobnie ten sam, którym został zabity Phil Gardén. Wyszedłem z pokoju. Na ulicy zobaczyłem Branta, odwiedzał przyjaciół George'a i teraz przyszedł koleją na Toma. Było już ciemno i zdążyłem schować się do bramy, nim mnie zauważył. Poszedłem do baru i zamówiłem dużą porcję whisky. Nigdy nie obawiałem się nikogo, lecz bałem się Almy. Należało przekonać Oscara, powiedziałem mu o Tomie. Powinien zrozumieć: kto miałby powód zabicia Toma, jeżeli nie Alma? Jeżeli Oscar nie będzie chciał jej uduśić, ja to zrobię!

Pojechałem do Oscara, otworzyła mi Alma. — Johnny, rzekła dotykając mego ramienia

— cieszę się, że przyszedłeś. Wyobraź sobie, że policja aresztowała Oscara. Nie chcieli mi powiedzieć dlaczego. Może z powodu George'a?

— Nie. Sądzę, że chcą go zapytać jak to się stało, że Tom został zasztytowany.

Alma skrzyżowała ręce na piersiach gestem aktorki. — Ależ to nie mógł być Oscar! Nie wychodził z domu.

— Ale pani wychodziła, prawda? Arsenik powalił tylko jednego z nas, więc musiała pani zastanowić inną metodę, inną broń. Ciekawy jestem, jaki system zostanie wymyślony dla mojego śmierci?

Cofnęła się do tyłu. — Czy pan jest pijany? Co pan mówi?

— Wiem, o co tu chodzi. Obwinia pani nas czterech o śmierć Phila i mamy teraz odpokutować!

— Ależ Johnny! Na Philu wcale mi nie zależało. Gdy się po- braliśmy byłem zakochana, ale niedługo zaczął mnie nudzić. Taki pucołowaty dzieciak! O kradzieży nie powiedział mi ani słowa, wszystkiego dowiedziałam się w komendzie policji, gdy mnie badał. Brant wymienił nazwisko Oscara i pana, więc próbowałem wydedukować od was trochę pieniędzy. Nie więcej nie chciałem... tylko pieniędzy!

— Ale ich nie wzięłaś! Zamiast tego obrobiłaś dla siebie Oscara, żeby cię wziął do swego domu, gdzie łatwo było zebrać nas wszystkich razem.

— Kocham Oscara, to jest uczciwy człowiek.

— Czy ci nie przeszkadza mieszkać z człowiekiem, który zabił twego męża?

Wzruszyła ramionami. — Nie wierzę, że to on. Jest taki do- bry i delikatny.

Uderzyłem ją pięścią w twarz.

Zabiła George'a i Toma, zabi- la by także mnie, gdybym jej nie powstrzymał.

Upadła na podłogę, z ust jej popłynęła strużka krwi. Podniosłem ją, ustawiłem na nogach i biłem dalej. Upadła znów, zasłoniła twarz rękami jęcząc i cicho płacząc, żeby nie usłyszał sąsiedzi.

Patrzyłem na nią, czulem, w sobie tylko pustkę, a potem żal. Czy nie zabiłbym jej męża?

Wróciłem do mego mieszkania. Czekając tam na mnie dwóch policjantów w cywilu. Schwylił mnie za ramię. Stella zapytała przerażona: — Skarbie, co się stało?

Nic nie odpowiedziałem i wyszedłem z policjantem...

Maglowali mnie przez całą noc. Co jakiś czas zaglądał Brant i obserwował przesłuchujących mnie policjantów. Nie było żartów, pytali o Phila i George'a, lecz przede wszystkim chcieli dowiedzieć się prawdy o zabójstwie Phila.

Wyczerpany do ostateczności w pewnej chwili krzyknąłem: — Wszystko na próżno, nie dostaniecie nas! — Brant wszedł, wyjął fajkę z ust i rzekł: —

Może pana nie weźmiemy, lecz niedługo ktoś inny usunie pana z obiegu. Już trzech poszło.

Wypuścił mnie następnego dnia rano. Odchodząc dowiedziałem się, że Oscar wrócił do domu kilka godzin wcześniej.

W domu oczekiwała mnie Stella, uściśnięła ją mocno, lecz dla mnie nie było już spokoju. Opowiedziała mi, że przed godziną Oscar szukał mnie z rewolwerem w ręku.

— Był wściekły, mówił, że po- biles Alnę, groził, że cię zastrzeli. Nie możesz tu zostać, on wróci niedługo. Uciekajmy razem, nie mogę cię opuścić!

— Nie będę uciekał. — Wsunąłem rewolwer do kieszeni.

Stella przestraszyła się. — Co chcesz zrobić? Powiedz mi!

— Nie chcę umrzeć. — Odsunąłem ją od siebie. Zszedłem na dół i stanąłem w bramie. Stał obserwował drogę oświetloną słońcem. Nie minęło pół godziny, gdy pokazał się Oscar. Wyglądał okropnie, twarz nie ogolona, chudy jak szkielet. Ożywiła go tylko wściekła chęć zamordowania mnie.

Wiedziałem, że nie pomoże żadna rozmowa. Znałem Oscara w różnych akcjach, tylko jedna rzecz mogła go powstrzymać. Trzymałem prawą rękę w kieszeni. Także i Oscar trzymał obie ręce w kieszeniach. Rzekł: — Johnny...

Nie słuchałem jego słów, pa- trzyłem na prawą rękę. Strze- liłem w jego kierunku...

Wszyscy umarliśmy. Było nas pięciu w Jersey, czterech jest w grobie. Ja jeszcze oddycham, lecz między mną a tymi czterema jest tylko różnica dwóch dni, gdy zostaną spalony na to- telu elektrycznym.

Proces trwał krótko. Tuzin lu- dzi widział mnie w bramie jak strzelałem do Oscara. Nie mogłem nawet odwołać się do argumentu obrony osobistej, ponieważ Oscar nie miał przy sobie pistoletu. Opowiadanie prawdy na nie by się nie zdało. Sąd przysięgłych orzekł: — Jest winny.

Chciałem zobaczyć się jeszcze ze Stellą, przyszła natychmiast. Zmieniła się bardzo... coś ją zżerało...

— Wineszuję ci sukcesu — rzekłem.

Głos kobiety był zmęczony. — A więc odgadłeś?

— O, miałem wiele czasu, żeby to przemyśleć! Oscar nie posłał przy sobie broni. Teraz już wiem, co chciał zrobić, gdy wy- ciągnął rękę z kieszeni. Chciał podać mi ją, uściśnąć mnie i powiedzieć: — Johnny, pomyli- liśmy się... — Bo on miał rozum! Gdy dowiedział się, że Tom został zasztytowany w łóżku, zrozumiał, że miałem rację co do Almy. Lecz przeznaczenie chciało, że nie miałem racji, skrzywdziłem Alnę!

— Tak, Johnny, nie miałeś ra- cji — szepnęła Stella.

— Upiękniasz dwie pieczenie

przy jednym ogniu. Okłamałaś mnie, bo Oscar nie chciał mnie zabić. Wszystko tak poszło, jak się spodziewałaś! Ja go zabiłem a teraz rząd mnie zabije. Owego wieczoru posłałaś do kuchni, żeby pomóc Almie. Skąd taka gorliwość wobec kobiety, która ci odebrała mężczyznę? Posłałaś do kuchni, żeby włożyć arse- nik do wótróbki.

— Nie możesz mi tego dowieść.

— I nie będę próbował. Zre- szta nie ocaliliby mi to życia. Rozumiem teraz dlaczego przy- kleiłaś się do mnie, gdy cię Oscar porzucił. Chciałaś pozo- stać w kręgu jego przyjaciół, mieć czas na zorganizowanie morderstwa w sposób nie wzbud- zający podejrzeń — udało ci się doskonale. Lecz jednej rze- czy nie rozumiem... jaki był motyw twojego działania?

— Phil — rzekła zmęczonym głosem Stella.

Skinałem głową: — Chyba tak. Gdybyś nienawidziła Oscara ponieważ rzucił cię Almy, nie zależałoby ci na usunięciu pozostałych osób. No i ta śmierć Toma... zabójstwo zimne i wyrachowane. Motyw ten sam, którym obwinilem Alnę — u- sunąć wszystkich, którzy ucze- szniczyli przy śmierci Phila! Z

skok. Myślał, że ja nie nie ro- zumiem z tego, co się działo w jego domu. Wiedziałam wszyst- ko! Zawsze. Namówiłam pewne- go człowieka, żeby skontaktował Oscara z Philem. Udało się, Oscar wziął go z sobą do Jer- sey. Jakże chciałam wyjść z te- go zniechęconego środowiska, z tych brudnych interesów. Ma- rzyliśmy, że z udziałem Phila, kilkoma tysiącami dolarów, uda- my się na zachód i rozpocznie- my nowe życie, czyste, uczciwe. Domek, praca, dzieci. I Oscar mi go zabił.

— Umarliby i tak z powodu rany — rzekłem.

— Lecz nie powinniście zos- tać bez żadnego ratunku!

— Nie masz chyba satysfakcji? — zapytałem. — Nie odzyskasz Phila, nie będziesz żyła w spo- koju...

Westchnęła. — Boże mój! Ty- lu zmarłych, taka pustka! Nie mogę spać, Johnny. Zemściłam się, lecz już nie śpię. — Spo- żyła na mnie, chciała coś jesz- cze powiedzieć. Ale odeszła bez słowa.

To było wczoraj. Dziś przy- szedł Brant i oznajmił, że Stel- la otrula się arsenikiem.

A więc tak, pięcioro z nas nie żyje i wkrótce ja za nimi pó- ję. Prozę Almy.



tego wniosku, że byłaś związana z Philem.

Stella zbliżyła się do mnie. Jej piękna twarz stęzła. — Kocha- łaś Phila. Jego żona Alma, zdra- dzała go, opowiadał mi. Nie znałam jej wówczas. Spotkali- my się w autobusie i zakocha- liśmy się w sobie. Miłość ro- mantyczna i głupia. Chcieliśmy razem gdzieś uciec, ale nie mie- liśmy pieniędzy. Wiedziałam, że Oscar przygotowywał wielki

Nie powinienem był tak szyb- ko wyciągać rewolweru owego dnia, w bramie pensjonatu. Po- winienem być poczekać jeszcze chwilę, żeby się upewnić czy chodzi o moje życie.

Lecz teraz pisząc te słowa w celi śmierci mogę spojrzeć pra- wdzie w oczy. Zabiłem Oscara w jasny, słoneczny ranek, po- nieważ zabrał mi Alnę...

A. S.

HARRI LEHISTE

MIĘTUS - MĘDRZEC

W ŁODZI GOŚCIŁ ZNANY SATYRYK ESTONSKI, HARRI LEHISTE, SEKRETARZ CZASOPISMA SATYRYCZNEGO „PIKKER”, KTÓRE UKAZUJE SIĘ W TALLINIE. OBOK ZAMIESZCZAMY JEGO HUMORESKE, PRZE- ŁOŻONA Z WYDANEGO W JĘZYKU ROSYJ- SKIM TOMIKU SATYR.

— Odtąd będę waszym władcą — oświadczył kto- regoś dnia stary Miętus mieszkańcom jeziora. Zapamiętajcie sobie: bez mojej wiedzy nikt z was nie śmie wykonać żadnego ruchu. Ani jedną pletwą. Nieposłuszni będą zjedzeni.

Mieszkańcy jeziora udawali, że słowa te do nich nie dotarły i starali się opływać jak najdalej rezy- dencję Miętusa. Tylko natwne piskorze, młode leszcze i karasie na serio potraktowały przemówienie starego Miętusa i poczęły usilnie zabiegać o jego względy.

Pierwsze podpiły do Miętusa piskorze.

— O, najmądrzejszy ze wszystkich władców! zawoła- ły chórem. — Pozwól nam wykorzystać zeszłoroczne wodorosty.

Miętus umyślnie długo milczał, żeby zrobić odpo- wiednie wrażenie. Wreszcie spytał:

— A do czego potrzebne wam są te wodorosty?

— Chcemy zbudować z nich gniazda na dnie jezio- ra. Zbliża się czas tarła.

Miętus znowu nie odzywał się przez dłuższą chwilę. — Czas tarła, powiadacie? Tak, to jest ważny pro- blem. Trzeba się nad tym zastanowić. Przyjdzie po- jutrze.

Po trzech dniach wiernopoddanie piskorze znowu zjawiły się przed obliczem swego władcy. Miętus spytał:

— A właściwie, dlaczego to mają być zeszłoroczne wodorosty?

— Są lepsze od innych, najbardziej się dla nas na- dają.

— Widzę, że brak wam elementarnej skromności — rzekł sarkastycznie Miętus. — Uświadomieni obywa- tele nie powinni żądać najlepszego. Jasne? Wyrażam zgodę, ale na wodorosty sprzed dwóch lat!

Piskorze zwiesiły nosy na kwintę i udały się na poszukiwania wodorostów sprzed dwóch lat, które zgniły jeszcze w zeszłym roku.

A w tym czasie do Miętusa podpiły gromadka młodych leszczów.

— W wodach jeziora płyną larwy komarów. Wiel- ki Miętusie, pozwól nam je zjeść!

Miętus zwyczajem swoim nie odezwał się od razu. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

— Mówicie, że płyną w wodzie? A dlaczego larwy komarów płyną? Przecież komary fruwać w po- wietrzu! To zbyt skomplikowana sprawa, muszę się nad tym dobrze zastanowić. Odpowiedź otrzymacie za tydzień!

Ale leszcze nie zjawiły się po tygodniu u Miętusa,

gdyż po upływie tego czasu wszystkie larwy prze- kształciły się w komary i uzbili w powietrze.

I tak pomalu nawet najmniej rożgarnięci miesz- kańcy jeziora rozumieli, że ich władca to oderwany od życia głupiec. Zarzł się u siebie w mule pod za- topionym sekątem drzewem i o niczym nie wiedział. Wszyscy, nawet młode leszcze, opuścili niemądrego Miętusa. Tylko prostackie karasie po dawnemu krą- żyły wokół jego siedziby. Zwracając na siebie uwagę Miętusa miały nadzieję uzyskać w ten sposób od niego realne korzyści. Pytały: jak lepiej polować ko- mary — od głowy, ogona, czy z boku? A gdy Mię- tus wypowiadał jakieś słowa, karasie stuląłco po- wtarzały je wszystkim dokoła, wychwalać pod nie- biosa mądrość i erudycję władcy. Pochlebstwa te bardzo Miętusowi schlebiały i dlatego wyrażał zgodę na wszystko, o co tylko karasie prosiły.

Pewnego razu karasie podpiły do swego władcy i rzekły:

— O, wielki i najmądrzejszy Miętusie! Pozwól nam zjeść robaki, które wiszą na żelaznych haczykach!

— Dla was, drogie karasie — odpalił Miętus — nie ma żadnych ograniczeń. Jedzcie sobie na zdrowie!

Od tego dnia karasie — lizusy poczęły szybko zni- kać. Niebawem w jeziorze nie było już ani jednego dorosłego przedstawiciela rodu. A najmądrzejszy z mądrych samotnie pływał po jeziorze, dziwiąc się, że nikt go nie wita i nie prawi mu komplementów.

— Gdzie się podziały moje drogie karasie? — spy- tał żabę, wygrzewając się na kamieniu.

Żaba roześmiała się.

— To łatwo sprawdzić. Bardzo łatwo. Wystarczy tylko poknąć o, tego robaczka, dyndającego na ha- czyku...

Przeł. ADAM OCIOCKI